

# KAMENIA

## dwutygodnik literacki

NR 76 (148)

ROK XXV

CENA 2 ZŁ

JAN MARIA GISGES

### Zielony Chram

Puste, zielone, drewniane pałace  
w śmiesznych czapkach z zielonego papieru,  
jakie robią dzieci bawiące się w wojsko,  
puste różowe i zielone komnaty,  
gdzie ani mysz, ani nawet pajak nie mieszka.  
Drewnianymi podcieniami biegnie pogłos,  
zagubione requiem czasu  
wyszeptane chanom — lamom,  
których imion lud rle pamięta.  
Jestem tu strumykiem przepływającym,  
co nie zmieni dna  
i nie przetoczy kamyczka,  
co szumem lęka się zbudzić ciszę.

Gospodarzy wrzesniowe, słoneczne popołudnie  
jak senny satyr ostatnim technieniem  
gwiżdżący na dziurawej rynnie.  
A na dachu siedzą chińskie maskary  
nieruchome jak starcy wygrzewający kości.  
Z wierci świelkiej, zielonej bramy  
patrzają straszne maski  
strasznych chińskich mandarynów  
na wrzeszczących, ruchliwych chłopców,  
kopiących piłkę przed ich obliczem.  
Tu jestem ptakiem,  
co usiadł na głowie martwego smoka  
i rozdziawwszy dzióbek dźwi się,  
że nie ma swojego cienia.

## ŻYCIE JEST MIŁE\*

ADOLF LEKKI

MICHURA zrezygnował z niewygodnego połączenia kolejowego i postanowił dostać się do Głubczyc rowerem. Pociąg odjeżdżał ze Skrobowa dopiero około godziny dziewiątej i przybywał do stacji końcowej na jedenastą. Na rowerze tę samą przestrzeń młody zdrowy człowiek przebyć mógł w ciągu trzech godzin.

Obejrzał rower, którym wybierał się w drogę. Była to damka, niegdyś woząca starą Ślązaczkę do kościoła i na targ, potem wydobyta z gruzów i zmyślnością Grześniaka doprowadzona do stanu używalności. Pożyczył ją od Grześi z zapewnieniem, że będzie dbał o ten pojazd jak o własny.

Z sypialni wyszła Liza. Od tamtej chwili pozostała już u niego i objęła posiadanie całe gospodarstwo domowe. Stało się to bez woli, a nawet wbrew intencjom Michury. Po prostu po nocy spędzonej razem Liza wstała pierwsza, kawalkami drzewa rozpalila w kuchni ogień, przygotowała herbatę. Postępowała tak, jak gdyby mieszkali razem od dłuższego czasu. Gdy Michura próbował dać jej do zrozumienia, że powinna sobie pójść, potrzaskała głową przecząco.

— Pozostane tutaj — oświadczyła. Starala się jak najmniej przeszkadzać mu w pracy, nie kępowała jego swobody, a jako gospodyni była wprost niezastąpiona. Mieszkanie lśniło od czystości, posiłki były smaczne i na czas podawane, mundur wyprasowany i wyzyszczony. Nie przyznając się przed

samym sobą do swoich uczuć, Michura zasmakował jednak w tej namiastce życia unormowanego.

„Ciekaw jestem, jak długo to potrwa” — myślał, a równocześnie nie czynił nic, aby rozstanie przyspieszyć. Nauczyli się porozumiewać między sobą jakąś mieszaniną polskich i niemieckich wyrazów, pomagali sobie gestami, ale mogli prowadzić swobodną rozmowę. Zresztą nie rozmawiali wiele. W ciągu dnia rozmowy ich miały charakter zupełnie oficjalny. Liza nie wychodziła z roli służącej, on nie dawał jej do zrozumienia, że jest panem domu. Inaczej było wieczorami. On kładł się spać pierwszy, gasił światło, a wtedy ona wsuwała się do łóżka, opłatała rękami jego ciało. Dziwna była ta milcząca pieśń. Potem leżąc obok siebie zaczęli rozmawiać. Rozmowę zaczynała Liza. Dowiadywał się o jej życiu, rodzicach, niespełnionych marzeniach. Od czasu do czasu dorzucał jedno słowo, potem znów sycił się jej miłością. Rankiem, gdy otwierał oczy, po Lizie zostawało tylko węglenie w poduszce i delikatny zapach.

— Tu jest drugie śniadanie.

— Dziękuję ci.

Przyjął od niej małą paczuszkę, a równocześnie pomyślał, że nie każda kobieta ze skromnych racji żywnościowych wydawanych na kartki umiałaby tak prowadzić dom jak ona. Liza wyszła do drugiego pokoju. Schował paczkę do kieszeni munduru, oparł się całym ciałem o rower, aby sprawdzić, czy wystarczy powietrza w dętkach.

WESOLOSI  
SWIAT!



Lublin — Stare Miasto

Fot. J. Tymiński

— Wrócę wieczorem — powiedział tak głośno, aby go dosłyszała, i wyszedł przeciskając się w drzwiach z rowerem. Było ciemno i chłodno. Gdzieś od gór sudeckich wlokła się dokuczliwa mżawka, wcisnęła się pod mundur, osiadła na rzesach.

„Czy nie lepiej byłoby jechać pociągiem?” — pomyślał.

Z tą myślą nacisnął pedał, zarzucił nogę na siodełko i wsiadł w mroku. Jechał wypatrując przeszkody. Ulice były puste i martwe. Ani jeden dźwięk nie maścił ciszy, ani jedno światło nie błyszczało w oknach. Po kilku minutach znalazł się za miastem. Było tutaj widniej, lecz jazdę utrudniał chłodny, jesienny wiatr wiejący z boku. Michura nasunął czapkę i mocniej nacisnął pedały. Teraz, gdy rozgrzał go pierwszy ruch, poczuł się lepiej. Już nie przerażała go ani odległość, ani pogoda. Jechał dość szybko. Przed nim uciekała gładka asfaltowa droga, miejscami tylko poroniona wybuchami pocisków lub gąsienicami czołgów, z tyłu gonili go ślad jego roweru. Powoli zaczęło się rozwidniać. Smutna była ta siena, jesienna poświata. Spływała na ziemię wprost z góry, jakby zapomniana, że wschód winien być miejscem jej urodzenia, zatrzymywała się na szczytach drzew, zsuwała się na dachy domów w mijanych wioskach, wreszcie opadała na ziemię. Wstał przeciętny późno jesienny dzień. Nie zwalniając tempa, Michura ciekawie rozglądał się po okolicy. Jechał tą drogą po raz pierwszy i po raz pierwszy zawierał znajomość z nazwami mijanych miejscowości. Wykwitła przed

nim jakaś wioska, w szarość poranku wdarły się czerwone dachy budynków postawionych z równie czerwonej cegły. — Nassadél — odczytał nazwę na tablicy białej w ziemię ręką niemieckiego droźnika. Wioska była długa. Jej domy rozciągnęły się na trzy kilometry. Każde gospodarstwo, wyglądające niemal jak szlachecki dwór pod Beżycami, było starannie ogrodzone, podwórka wybrukowane kamieniem lub zalane cementem lśniły czystością. Wszystko było w tej wiosce, tylko życia nie było. Gospodarstwa stały opuszczone, w niektórych domach okna były powybijane, bądź wyjęte z ramami. Dopiero w samym środku wsi Michura natknął się na pierwsze ślady życia. Był to pies, który wypadł z jakiegoś podwórka i z głośnym ujadaniem zaczął mu towarzyszyć w drodze. Szczekanie psa wywabiło na drogę mężczyźnię w wojskowym mundurze. Michura zatrzymał rower.

— Daleko jeszcze do Głubczyc? — zapytał.

— Nie tak daleko, będzie z piętnaście kilometrów...

Michura wydostał z kieszeni papierosa, poczęstował. Zapalili, wdali się w rozmowę. Wioskę przed kilkoma dniami zajęł transport ludzi składający się w większości ze zdemobilizowanych żołnierzy i ich rodzin.

— Teren nie bardzo bezpieczny. Przyjechaliśmy tutaj z bronią. W razie czego... A pan z daleka? Widzę, że też żołnierz...

— Niezupełnie. Były partyzant...

(Dokończenie na str. 6)

\* Fragment powieści pt. „W tyglu”

# WYSTAWA z Warszawy i Krakowa

STANISŁAW MICHALCZUK

„Malarstwo abstrakcyjne odwraca się od rzeczywistości.  
— Rzeczywistość nie ogranicza się do tego, co jest dostrzegalne”.

Leon Degand

Łatwiej zgodzić się z tym, że obraz nie musi przedstawiać konkretnego przedmiotu czy zjawiska, niż spostrzec, że istnieje jakiś związek między naszą współczesnością a sztuką naszych czasów.

(Niewątpliwie łatwiej dostrzeżać ten związek przyszłe pokolenia, podobnie jak my widzimy renesansowość w malarstwie Signorellego, czy barokowość w dziełach El Greca).

Dlatego liczni krytycy traktują malarstwo „informel” (bezformne) jako sztukę okresu przejściowego do bliżej nieokreślonego, na pewno jednak tematycznego, malarstwa przyszłości.

Zrozumiano, że piękno zachodu słońca nie polega na faktie obrotu kuli ziemskiej i fizycznych właściwościach atmosfery, ale na barwach nieba, chmur i obłoków, na zmieniającej się intensywności gry barw, jakie w tym czasie zalewają horyzont i krajobraz. Zrozumiano, że ten sam zachód może być dla jednego o pogodnym, dla drugiego o smętnym nastroju.

Wiadomo, że w wypolerowanej głowice szpilki może się odbić całe gwiaździste niebo, którego pełni obrazu jednak tam nie zobaczymy.

Czyż nie podobnie ma się rzecz z malarstwem?

Malarstwo może być odbiciem rzeczywistości, ale nie musi być jej namacalnym obrazem.

Przecież nie ulega wątpliwości, że jedną z cech wspólnych każdemu dziełu sztuki (stanowiącą o jego postępo-

wej wartości i niezmiennej trwałości) jest związek ze współczesnością.

W czym się ten związek najlepiej wyraża? We współdziałaniu odkrywania i poznawania świata. W ciągu dziejów zmienia się charakter tego współdziałania. Człowiek pierwotny żyjący z polowań z nieomylnością rysował sylwetki i migawkowe ruchy zwierząt. Artysty renesansu byli w jednej osobie malarzami i odkrywcami perspektywy. Impresjoniści czy postimpresjoniści stosowali współcześnie odkrywane zasady rozbitcia białego światła. Czy epoce wyzwalała energią atomów i prób lotów międzyplanetarnych odpowiada malarstwo bezformne i płótna taszystów o barwnych, dynamicznie pochłapanych powierzchniach, kipiących masą fakturowo namacalnej, a zarazem tajemniczej materii?

„Rzeczywistość nie ogranicza się do tego, co jest dostrzegalne” — dodajmy, każdy inaczej widzi rzeczywistość, każdy ma swoją rzeczywistość. Malarze są ludźmi, a każdy z nich ma swój świat.

Sztuka nie jest ani matematyką, ani historią — nie jest też zabawą.

Przejdźmy do konkretnych.

Otwarta w lutym i marcu br. Wystawa Malarstwa J. Maziańskiej, E. Rozenstein, i T. Romanowskiego w sa-

li CBWA w Lublinie jest obrazem malarstwa ostatnich lat.

Maziańska z małymi wyjątkami pokazała duże płótna charakterem swym przypominające mistyczne obrazy Strzemińskiego, zbudowane na zasadzie równowartości przestrzeni, gdzie forma jest równomiernie rozłożona na całej powierzchni płótna. Te szaranie zamalowane płaszczyzny, bezformne, przenikające się i roztopiające się w sobie plamami czarno-szaro-białobrazowymi, jednostajne, zaledwie ożywione grubością faktury i jednostajnym rytmem waloru, nie są pozbawione pewnej monotonii i nudy, pomimo nieco frapujących tytułów: „Nie ma przestrzeni”, „B—kompleks” (wętek kamiennego muru), „Skazy niezapisanych poematów”. Działają głównie swą monumentalnością, zmuszając wzrok widza do nieustającego blądzenia.

Uwagę zwracają bogatsze barwnie „Odbicie”, „Dary Belgów”, „Doświadczenie”, gdzie wzrok patrzącego spotyka pewne punkty zaczepne w nader zresztą swobodnej kompozycji.

Zdyscyplinowane technicznie i formalnie obrazy Maziańskiej, pomimo zamierzonej ucieczki od powszechnie znanych rzeczywistych form, sugerują czasem pewne z nimi skojarzenia — np. „Przecucia fletu”, czy „Rodo-Wód” — przypominają wnętrza zalanych przez wodę skalnych grot.

Zestaw prac tej malarki wygląda w Lublinie niewątpliwie ciekawiej niż na Wystawie Nowoczesnych w Zachęcie.

E. Rozenstein maluje bardzo żywiołowo, z temperamentem, a często niemal złotniczym kunsztem i drobiażkowością, szczególnie kładąc nacisk na kolor.

Jej prace surrealistyczne nie wychodzą poza przyjęte i znane zestawy przedmiotowe stosowane przez malarzy tego kierunku. Kawałki ludzkich ciał, perspektywiczna dal niezmiernie pustki, rytmiczne powtarzanie tego samego kształtu czy wręcz kontrast światłocieniowo malowanych przedmiotów z płaskością tła — stwarzają, pomimo pewnej banalności, przy intensywnych i zgranych zestawach kolorystycznych dość udane nastroje („Spokojny Świat”, „Pomniki”, „Schody”).

Ciekawe są płótna i papiery pokryte bardzo bogatą gamą barwną farb olejnych i innych (technika mieszana), często ograniczoną do jednej tonacji, czerwonej, zielonej, żółtozłotej. Jeżeli obraz ma bawić oko widza, sprawić mu przyjemność oglądania i szukania nieskończonego wielu kształtów i barw, to właśnie te nie przedstawiające obrazy, w których malarka gromadzi niezliczoną ilość kolorystyczno-bezkształtnych zestawień malowanych mniej lub więcej szeroko, napryskiwanych, ściekających, rozbryzanych lub rysowanych szpilką — rolę tę bezsprzecznie spełniają. Działają na widza dwójako: jaskrawą, żywą plamą barwną oraz jako długotrwała strawa estetyczna dostarczająca przy ciągłym oglądaniu zawsze czegoś nowego („Kraj-obraz”, „Rośnię”, „Samolot”, „Rozmowa z archeologiem”, „Dawne”).

Nieco przegadane i z mniejszą dozą wyrazu są inne obrazy z tej serii: „Morze”, „Zastygające”, „Dzieciom węgierskim”.

Trafnie zauważył J. Bogucki, że powstać ludzka — i tak zresztą pojawiająca się na dalekim marginesie twórczości Rozenstein — zdradza pewną niezaradność i amatorskość wykonania. Ta nieporadność, niemal prymitywna naiwność, z jaką malarka maluje ludzi, sugeruje sprzeczność z jej akademickim wykształceniem artystycznym.

T. Romanowski, którego twórczość nie ma nic poza czasem wspólnego z dorobkiem artystycznym obu wystawiających z nim malarek, ugrzązł mocno w manierze swego mistrza Legietna.

Oczywiście nie można tu mówić o naśladowaniu. Widocznie jednak Legietna jako nauczyciel wyjątkowo silnie oddziaływała swą indywidualnością na uczniów, skoro i Kunka (wystawiający w Łodzi), bliższy zresztą późniejszemu okresowi twórczości swego nauczyciela, wykazuje tak silną od niego zależność.

Romanowski czuje pewnie ten wpływ i w pracach swoich (studia miejskich pejzaży, oplotków i drzew) szuka własnego wyrazu rozdrabniającego legerowską monumentalną kompozycję i przegaszając żywość barw mistrza.

Czy Romanowski zdobył się na coś bardziej samodzielnego?

Może tym punktem wyjścia jest „Martwa natura II”, w której centralny kolisty kształt ma coś z twarzyczki dziecka T. Makowskiego.



„Miły kraju rodzinny, co się z tobą stało?” — z cyklu „Miserere”

GEORGES ROUAULT — 13.II.br.

## JAN MARIA GISGES

### Antyfony do bogini Tarych

Skośnooka,  
o złotej twarzy,  
z gliny ulepiona przed wiekami  
i nie większa niż strzemie,  
dźwigasz na krągłych ramionkach  
miłości i nienawisć  
ciężkie brzemie.

Bogini bezpłodnych  
i zawiedzionych,  
nieszczęśliwych,  
brzydkich  
i niekochanych —  
skośnooka,  
złota,  
ulepiona z gliny  
opiekuj się kobietami,  
nie znającymi miłości mężczyzny.

Strojna w gliniasty, granatowy diadem  
bogni  
kupeżących ciałem  
w noc ciemną jak twarz przynędy  
[kochanka,

w jurcie rodzących,  
na koniu karmiących,  
w drodze i przy stądzie,  
w dzień jak wiatr pochylony  
[nad stępami.

schośnooka,  
złota,  
z gliny ulepiona  
uratuj dla nich czas,  
który ich nie pokona.

## W A T z tej i z tamtej strony

### TADEUSZ KLAK

To, co W. Maciąg napisał o wierszach Aleksandra Wata<sup>\*)</sup> w „Zyciu Literackim”, było doprawdy żenujące i siuszenie doczekało się sprzeciwu na tych samych łamach. Nie żeby Maciąg nie miał zupełnie racji. Bo u Wata istotnie rażą pewne objawy tego, co się składa na jego poetycki styl. To właśnie nadmiar wyrazów, których nie pojmiemy bez „Słownika wyrazów obcych”, to rozwlekłość i bezkształtność materii poetyckiej, to wręcz obsesja powtórzeń i refrenów, nie zawsze uzasadnionych. Nie są to wszystkie grzechy poezji Wata — można by ich uzierać na dobry rachunek sumienia.

Ale to tylko jedna strona medalu. Drugiej Maciąg nie chciał czy nie potrafił obejrzeć. A przecież lektura Wierszy pozwala stwierdzić, że jest to zjawisko nie mające odpowiednika we współczesnej poezji polskiej. Jeśliby szukać dla wierszy Wata analogii w tradycji literackiej, bez wahania trzeba by wskazać na Norwida. Poza nielutym w odbiorze i pozornie ciężkim językiem łączy ich postawa filozoficzno-refleksyjna oraz pasja ciągłego uświadamiania sobie zasad pierwszych swojej postawy.

To stanowisko warunkuje artystyczny kształt twórczości Wata. Większość jego wierszy stanowi rodzaj poetyckiego

rozmyślenia, ujawniania myśli na bieżąco, rodzaj — jak się zwykło mawiać — „głośnego myślenia”. Klasycznym prawie przykładem jest wiersz „Czymże jest? Czymże?”:

Agonia nie jest śmiercią ani nie jest życiem.  
Więc czym jest, czym? Ha! to powieścić trudno.

Poezja Wata zbliża się czasem ku filozoficznemu traktatowi i wtedy jest najbardziej dyskursywna, nawet formalnie — w sposobie stawiania pytań i odpowiadania, pytań często wyłącznie retorycznych (Przed weimarskim autopreterem Dürera). Styl dyskursywny kształtuje nie tylko utwory o problematyce filozoficznej, ale przenosi się i na inne utwory, czego przykładem może być Podróż. Powyższe uwagi, zwłaszcza stwierdzenie, że wiersze Wata są rodzajem rozważań poetyckich, wyjaśniają rozluźnienie rygorów kompozycyjnych jego liryki. Przekornie można powiedzieć, że rezygnacja z konwencjonalnych zasad kompozycji wiersza jest zasadą kompozycyjną jego twórczości.

A więc liryka filozoficzna. Liryka pytająca o sens życia, sens cierpienia. Zwłaszcza piękno bólu wyciska na tych utworach głęboki ślad. Jak łatwo i wy-

\*) Aleksander Wat: Wiersze. Kraków 1957. Wydawnictwo Literackie.

(Dokończenie na str. 4)

# Z lubelskiej literatury masońskiej

STANISŁAW MAŁACHOWSKI

Z LUBLINIANÓW

HELENA KWAPISZEWSKA

Autorka tych wierszy urodziła się w Lublinie w r. 1889. Już od najmłodszych lat zaprawiała się do przyszłej pracy społecznej. W r. 1905 brała udział w strajku szkolnym w lubelskim gimnazjum żeńskim, w latach 1911—1912 należała do tajnego kółka samokształceniowego, zwanego „Harmonią”. Odbarzona łatwością układania wierszy, pod wpływem wspaniałych rocznic i wydarzeń historycznych pisała utrzymane w konwencji neoromantycznej poematy patriotyczne, przeznaczając dochód z rozprzedaży książek na różne cele narodowe. Ważniejsze utwory: „Oni musieli powstać” 1915, „Kamień Kościuszki” 1917, „Czynu” 1918, „Pomnik grunwaldzki w Krakowie” 1919, „Pomnik grunwaldzki w Lublinie” (z historii dziejów kościoła Wizytek i jego dzwonów) 1929. Obecnie pracuje nad ręką z okresu powstania warszawskiego, w którym walczył i poległ jej bratanek — podchorąży i strzelec AK.

Przypominam na wstępie, że po masonach polskich pozostały w spuściźnie „Głosy”, „Spiewy” i „Hymny”, wykonywane w lożach przez muzyków i chóry oraz deklamowane podczas różnych okoliczności: Oprócz utworów wierszowych wygłaszane były też okolicznościowe mowy jubileuszowe i żałobne. Czołowym poetą wolnomularstwa polskiego jest Kazimierz Brodziński. Przykładem jego twórczości masońskiej może być „Spiew” na uroczystość św. Jana. Poeta nazywa wolnomularstwo okrętem, który winien dążyć do poważnego celu, nie bacząc na pozory. Najpiękniejszy wiersz masonski Brodzińskiego jest napisany na posiedzenie loży warszawskiej Świątynia Izis. Poeta wygłasza w nim zasadę, iż wolność, wiara i światło są trzema podstawowymi filarami wolnego mularstwa:

Wolność, Wiara i Światło trzy świątynie złote,  
W których lud szukał szczęścia i rozwijał cnotę,  
Lecz jak trudno śmiertelnik wielkość ich zrozumiał!  
Szukał ich, ale błędnie, kochał, lecz nie umiał.

Śmiertelny! póki czucia, póki tchu ci stawa,  
Chroń się stracić trzech dziedzictwo: wiary, światła,  
prawa;  
W nich wszystka twoja godność i szczęście i cnoty,  
Bez nich zniszczy cię przemoc, rozpacz i ciemnoty.

Znany wiersze masońskie J. D. Minasowicza, Tomasza Zana, Ludwika Osiańskiego, Ludwika Dmuszewskiego i innych.

Z mów masońskich zwraca na siebie uwagę wygłoszona 17 stycznia r. 1812 przez ministra Tadeusza Matuzewicza podczas uroczystości żałobnej po zgonie Wielkiego Mistrza Wielkiego Wschodu Narodowego Polskiego, Ludwika Gutakowskiego, prezesa Rady Stanu i Senatu.

Zatrzymawszy się na rozważaniach o nieśmiertelności duszy i wiecznej nagrodzie za dobre czyny, mówca zwraca się do ducha zmarłego: „Czuwaj z wysokości niebios nad osieroconymi bracia! Twoimi, wspieraj niewidomie chęci ich i pracę i niech wierne przez nas cnot Twoich naśladowanie stanie się nieustannym hołdem wdzięczności, wiecznym pamięci Twojej uczczeniem”.

Wiersze i mowy masońskie, wydane drukiem wyłącznie dla masonów, stanowią obecnie wielką rzadkość.

30 września r. 1815 lubelska loża Wolność Odzyskana wznowiła prace, przerwane wojnami napoleońskimi. Na posiedzeniu odbyłym z tego powodu odśpiewana została „Pieśń”, napisana na tę uroczystość.

Anonimowy członek loży zwraca się do mistrza katedry Klemensa Urmowskiego, sędziego Trybunału Cywilnego w Departamencie Lubelskim:

Wdzięczność za twój ster chwalebny  
W dźwignionym cnoty Kościele  
Przyjmij chętnie, Przewielebny,  
Bo ja daję przyjaciele.

Nie pomija też namiestnika mistrza katedry, Antoniego Radziwińskiego, zastępcy prefekta Departamentu Lubelskiego:

Wdzięczność Tobie, Namiestniku,  
Niech także związek nasz piaci,  
Ześ stanął wśród Twórców szyku  
Nowej budowy dla Braci.

Dalej zwraca się do urzędników loży, wśród których byli naówczas wybitni masoni: Kajetan Morykon, Andrzej Smolikowski, Józef Trzeciński, Leon Dembowski i inni:

Wdzięczność i Wam, Urzędnicy,  
Najczulszą wszystkim nieśmiemy,  
Ze w ozdobionej Świątynicy  
Pracować z Wami będziemy.

„Pieśń” kończy się wezwaniem do zgody i wzajemnej miłości:

A jeżeli smutna sprzeczność  
Stanie opak naszej pracy,  
Widząc niezgody konieczność,  
Niech się kochają Polacy!

Jedną z najwybitniejszych osobistości wśród członków loży Wolność Odzyskana był bez wątpienia Klemens Urmowski. Na stanowisku sędziego Trybunału Cywilnego w Departamencie Lubelskim okazał duże zdolności prawnicze, które wyniosły go następnie na prokuratora generalnego całego Królestwa i profesora Uniwersytetu Warszawskiego. Lecz Urmowski znajdował też czas na prace literackie. W r. 1815 wydał Almanach Lubelski, pierwszy almanach czyli noworocznik polski, i podał myśl swemu koleźce lożowemu, właścicielowi drukarni w Lublinie, Janowi Karolowi Pruskiemu, wydawania pisma gospodarczego. W życiu umysłowym Lublina Urmowski odgrywał rolę ogromną, jako założyciel Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Towarzystwa Dobroczynności itd.

Otóż w tymże r. 1815 Urmowski opuścił Lublin, przenosząc się do Warszawy na stanowisko sędziego apelacyjnego. Na posiedzeniu pożegnalnym odśpiewany został „Hold”, napisany zapewne przez tego samego anonimowego autora. „Hold” wysuwa zasługi Urmowskiego:

Któż wdowy, starców, sieroty,  
Braci upadłych ratował,  
Kto wzmocnił nasze roboty  
I tę Świątynię zbudował?  
Kto tak przystępny, łagodny?

*Klemens, nasz Mistrz ukochany,  
Umysł Jego z naszym zgodny,  
Gdzie jest lepiej styć oddany.*

W tymże samym roku opuścił na stałe Lublin profesor szkół Departamentu Lubelskiego, wybitny mason Kajetan Morykon, mówca loży Wolność Odzyskana. Na pożegnanie napisany był „Spiew”, w którym bracia chcieli uczcić zasłużonego towarzysza. W „Spiewie” tym czytamy:

*Okrzepł głos w słowiku lubym,  
Liść swą zieloność już gubi,  
Radość čmi się kirem grubym,  
Warsztat też traci, co lubi.  
Dziś to, Bracia, raz ostatni,  
Jak od Mówcy w tym Zakonie  
Odbieramy uścisk bratni;  
Co za boleść w naszym gronie!*

Na uroczystości narodzin św. Jana Zimowego, tj. Jana Ewangelisty, brat mówca Kazimierz Nahajewicz utworzył „Hymn”, w którym sławił dobroczynność masońską:



KLEMENS URMOWSKI

*Przy milej zawsze swobodzie  
Ładkie są prace Mularza;  
On w świętym cnoty obwodzie  
Ściera łyż z powiek nędzarza.*

Wszystkie omówione powyżej cztery wierszowane utwory masonów lubelskich wydane były drukiem. Drużki te, nieznane Estreicherowi, stanowią obecnie wielką rzadkość bibliograficzną.

Masoni lubelscy nie mieli w swym gronie talentów poetyckich. Aleksander Fredro, członek loży Wolność Odzyskana w latach 1810—11, był wtedy jeszcze bardzo młody, miał zaledwie pierwszy stopień ucznia i nie mógł w loży odgrywać poważniejszej roli.

A oto próbki prozy masonów lubelskich. Na posiedzeniu żalobnym loży Wolność Odzyskana, odbyłym 17 stycznia r. 1812 ku uczczeniu pamięci i zasług zmarłego Wielkiego Mistrza Wielkiego Wschodu Narodowego Polskiego, Ludwika Gutakowskiego, z mową żalobną wystąpił mówca lożowy Jan Sław Hakenszmit, mecenas Sądu Kasacyjnego. Głównym motywowem tej mowy są słowa: vanitas vanitatum et omnia vanitas.

„Smutna jest zaiste kolej każdego stworzenia — rozważa mówca — gdy po życiu śmiertelnej następuje, lecz okropniejsza dla tego, który tę konieczność

## Głos Architekta

Piękno kształtu z mej myśli rysuję w przestrzeni  
i rysunek na papier rzucam dłonią pewną,  
by w nim zamknąć stos cegieł czy bloki kamieni,  
ludzkiej woli skupieniem by je stopić w jedno.

W ramy cyfr go ujmuję i ludziom oddaję,  
by pracy rąk zespołem wcielił kształt w życie.  
Rosną już ściany domów, gmachu łuk powstaje  
i kościoła niedawno zburzone wieżycy.

Myśl twórcza śledzi każdy etap pracy nowy,  
pieszcząc mury, wznoszone dłońmi robotnika,  
od fundamentów samych aż po wieżyc głowy.  
Kocham piękno mej myśli gdy się w kształt zamyka.

## Głos Rzeźbiarza

Gliny góra przede mną. Czy w nią wcielić zdołam  
myśl twórczą, co o głos się w rzeźbie dopomina?  
Głowa płonie tą myślą, o pracę rąk woła!...  
Krótki namysł i ogrom mej pracy zaczynam...

W mokrą glinę zatapiał ręce i ugniatam  
jeden szczegół po drugim pomnika szermierza  
pokoju, co miłością ogarnął pół świata  
i tę miłość braterską wciąż dalej rozszerza...

Zapał mnoży energię moją wielokrotnie.  
Pracuję bez wytchnienia dzień za dniem i w nocy...  
Wreszcie projekt skończyłem..

Znużony okrutnie  
odetchnę, gdy kamiennej przekażę go mocy...  
Już w pracowni kamienia bryła.

Zbieram siły,  
by wykuwać mozolnie projekt krok za krokiem...  
Młotek wali wciąż w dłuto...

Opadają pyły  
i już — pomnik pokoju sięgnie pod obłoki!...  
O, niech wreszcie przemówi, niech pociągnie tłumy  
dzieło me — owoc wielkiej nad życiem zadumy!

poznaje i w tym względzie wyższość swoją nad  
inne widzi. Człowiek w swoim poczuciu urodzenia  
i momencie śmierci jest jedynym przedmiotem  
godnym politowania. Zaczynamy nasze życie wra-  
żkiem, kończymy go westchnieniem!”.

Lecz słowa te dotyczą tylko ciała ludzkiego —  
twierdzi mówca — dusza bowiem jest nieśmiertelna.  
— Hakenszmit przechodzi do rozważań, iż człowiek  
jest panem stworzenia. Dalej filozofuje na temat  
śmierci, zatrzymuje się na obrzędzie żalobnym, a na-  
stępnie na osobie zmarłego i charakteryzuje jego za-  
sługi dla wolnomularstwa i dla kraju podczas zajmo-  
wania najwyższych godności w rządzie.

Mowa powyższa nie odbiegała od szablonu ówczes-  
nych mów żalobnych, wygłaszanych w lożach. Mowa  
na posiedzeniu warszawskim z powodu zgonu Guta-  
(Dokończenie na str. 7)

## H O Ł D

### WIERNYCH I WDZIĘCZNYCH SERC

Szan. Wars. na Wsch. Lubl. pod godłem:

## WOLN. ODZYSK.

złożony.

### PRZEWIELEB. I NAWUKOCHANSZEMU MISTRZ. KAT.

## B. KLEMENSOWI URMOWSKIEMU

KAW. SZK.

przy obchodzie uroczystym oddalania się Jego z pod Wsch.

r. p. św. 5815.

STRONA TYTUŁOWA HOLDU  
NA POŻEGNANIE K. URMOWSKIEGO W 1815 R.

# Dwa wieczory

WIECZÓR PIERWSZY:  
„DOM LALKI” IBSENA

Jadąc do Lublina na „Dom lalki” myślałem o zakończeniu tej sztuki, jak bardzo musi ono zaskoczyć widza, który nie znał utworu uprzednio i zapoznał się z nim dopiero na scenie. Co do mnie — zazwyczaj z dużą niechęcią wspominałem ten niezyciowy, sztuczny finał. Bohaterka sztuki porzuca męża (którego drobniomieszcząńska małość odkrywa się przed nią w całej pełni) i z gołą głową odchodzi w ciemną noc nie wiadomo dokąd, aby zacząć nową, lepszą życie. Jak łatwo przychodzi autorowi wygnać kobietę z domu, w mroź, aby tylko jego ideowym fanaberiom stało się zadość! Podobnie postąpiła byżona z socrealistycznym dramatu, gdyby odkryła w swym mężu nieprzewyższone narowy mieszczańskie, uniemożliwiające pełną ideową edukację towarzyski życia. To oczywiście brzmi paradoksalnie. Ale w finale „Domu lalki” wielkiego dramaturga norweskiego i w „wydźwiękowych” puentach współczesnych nam autorów teatralnych chodzi w istocie o to samo: o podkreślenie, zamknięcie ostateczne pewnej dyskusji, która, choć często dyskretnie, zaczęła pobrzmiwać już od pierwszego podniesienia kurtyny.

Shaw pisał o tym w swej „Kwintesencji ibsenizmu”: „...do dziś dnia krytycy nie dostrzegają nowego elementu technicznego w dramaturgii, mimo iż każdy poważniejszy dramaturg ostatniego pokolenia robi zeń

szeroki użytek w swej dramaturgii. Tym technicznym nowatorstwem dramatu jest dyskusja. Tak zwana dobrze zbudowana sztuka miała dawniej ekspozycję w pierwszym akcie, sytuację w drugim i rozwikłanie sytuacji w trzecim. Teraz mamy w dramatach ekspozycję, sytuację i dyskusję, przy czym dyskusja jest próbą talentu dramaturga. Na nie się nie zdadzą protesty krytyków, na nie oświadczenia, że

## teatralne

dyskusja nie jest dramatyczna i że sztuka nie powinna być dydaktyczna... „Dom lalki” Ibse na podbił całą Europę dyskusją”.

Tyle Shaw. W jednym zdaniu odsłonił istotę warsztatu Ibse na, może dlatego, że jego własny warsztat leży właśnie na drugim krańcu. Shaw, ironiczny, intelektualny, znający wagę i odcień każdego słowa i pojęcia — potrafił nadawać im dowolne znaczenia, przeciwstawiać je, żeby zaprzeczyły sobie i służyły równocześnie najgłębszej intencji autora. Nie potrzebował „finalnej dyskusji” dla przeprowadzenia pewnego dowodu, obrony swej tezy. Każda kwestia, każda sytuacja rozstrzyga problem na jego korzyść, jeśli oczywiście leży to w jego zamierzeniach. Natomiast Ibsen — ciężki, „zasadniczy”, pozbawiony poczucia hu-

dym razie możliwość „zaczepienia się” — pakuje manatki i odchodzi. Opinia jej środowiska społecznego straciła jakiegokolwiek znaczenie. Ież już małżeństw rozpadło się w podobny sposób. Nie wdając się w ocenę moralną zjawiska — trzeba doceniać fakty.

Wydaje mi się, że można by wydobyc ten współczesny sens „Nory” — sztuki o ludziach, którzy po latach odkrywają swe prawdziwe twarze. Wiek XX jest wiekiem rozbijania szablonoł pojęciowych, podważania kryteriów oceny, poszukiwania możliwie najprawdziwszego oblicza człowieka poprzez nieustanne demaskacje, konfrontacje z innymi ludźmi, z porządkiem świata. „Nora” mogłaby odegrać jakąś rolę w tej walce. Mechanizm jej „dyskusji dramatycznej” można by z powodzeniem odświeżyć.

## w Lublinie

Niestety, cud ten nie nastąpił na lubelskiej scenie. Pozwól sobie na ocenę niegrzeczną: przedstawienie zostało przygotowane niechlujnie i nie zdradza nam intelektualnego wysiłku reżysera. Obawiam się, że poza samym tekstem Ibse na, nie miał on nam nie do zakomunikowania „od siebie”, a tego przecież współczesna widownia oczekuje zazwyczaj z największą nie-

row plecami do widowni. Ibsen został rozmieniony na pięciogroszówki, na dygi, grymasy, efekciki — gdzieś przepadła poetycka gestość jego dramaturgii, jej głęboki sens wybiegający poza realia, właśnie to, co obok wartości intelektualnych byłoby pomostem pomiędzy czasem minionym a dzisiejszym. Któryś z moich znajomych powiedział, że na lubelskiej scenie zmienił Ibsen na Zapolską. To jeszcze zbyt pochlebne. Zapolska wiedziała o co jej chodzi. Tymczasem żadna z osób poruszających się na scenie nie zdradzała pełnej świadomości, jakiej idei służy.

Ibsen jest dramaturgiem o wielkim poczuciu tragizmu, rozumianego jako walka postaw, starcie wartości. Dramat Nory tylko wtedy może zyskać swój pełny sens, jeśli Torwald jest kimś, a nie półgłówkiem, którego nawet nie warto traktować poważnie. Może być „człowiekiem złym” w kategorii ibsenowskiej, oczywiście, — ale nie może być zupełnym zerem. Tymczasem na scenie zobaczyliśmy grupca, poruszającego się jak manekin i ilustrującego każdy „stan wewnętrzny” prymitywnym działaniem fizycznym: wypinanie piersi, jako oznaka „rozpierającej” dumy; nucenie i taneczny krok jako wyraz zadowolenia; zmarszczone brwi — złość itd. Nie mam prawa wyrokować na podstawie jednej roli o uzdolnieniach aktorskich

KONRAD EBERHARDT



„Dom lalki”. Zofia Kucówna (Nora), Danuła Lipińska (Krystyna)

Zygmunta Piaseckiego, ale wolno żywić pretensję do reżysera za takie „ustawienie” postaci. Jedynym osiągnięciem artystycznym lubelskiego przedstawienia „Nory” jest Zofia Kucówna w tytułowej roli. Byłaby jeszcze lepsza, gdyby w pierwszym akcie wyperswadowano jej te wszystkie rozkoszne mizdrzenia się, skoiki, minki... Kiedy w następnym akcie poważnie — równocześnie odkrywa swoje możliwości dramatyczne. Jest wrażliwa, czujna i nie traciła bardzo dyskretnie, ukrytej „nuty tragicznej”, tak istotnej dla dramaturgii Ibse na.

Scena klótni małżeńskiej, dysputy finalnej i pożegnania wypadła zgola groteskowo. Nie twierdzę, że są to najmocniejsze partie tekstu Ibse na, ale przecież nie można doprowadzać go do absurdu. Po otrzymaniu listu donoszącego o groźącym kataklizmie, po awanturze z Nora, w której Torwald sam się demaskuje, po otrzymaniu wreszcie listu anulującego poprzednie groźby, a więc po istnych eksplozjach dramatycznych — Torwald puszcza się w jakiś beztrocki pług z szalem w rękę. Trzeba się przecież liczyć ze zdrowym rozsądkiem widzów.

Andrzej Balcerzak nakreślił interesująco postać dra Ranka. Przy innej koncepcji przedstawienia zostałoby dla niego więcej miejsca. Ujęła mnie powściągliwość Danuty Lipińskiej w roli Krystyny Linde, ale mogłaby się wyżyć bardzo szablonołwych „aktorskich zagrań”. Należy również wspomnieć z sympatią Zbysława Jankowika w roli Krogstada.

cierpliwością. Szczególnie gdy chodzi o arcydzieła sędziwe, których nie można już grać bez od-reżyserkiego komentarza.

Symbolem wspomnianej niechlujności są dla mnie obrzydliwe kandelabry z MHD przyćpione do preten-sjonalnej dekoracji wnętrza. Ten szczegół nadawał jakoś dla mnie ton przedstawieniu. Na płaszczyźnie reżyserkiej odpowiada temu istny arsenał „chwycików”, gierki, sytuacji nie służących istotnej sprawie. O nowoczesności przedstawienia świadczyć mogą takie wynalazki, jak intymne wyznania przyjaciółek wykrzykiwane przez całą scenę (wiadomo: umowność) lub częste wygłaszanie kwestii przez akto-

## W A T z tej i z tamtej strony

(Dokończenie ze str. 2)

godnie wiąże Maciąg te sprawy z na wskroś konwencjonalnym smutkiem i kłopotami jaźni artystów młodopolskich! A przecież te uogólniające pytania Wata wyrastają z najbardziej konkretnych cierpień naszej epoki. Trudno chyba od Wata wymagać pisania optymistycznych sielanek. Za jego wierszami stoi zawsze konkretne przeżycie. Jeśli szczerością by mierzyć wartość poezji, ta poezja byłaby wtedy bez zastrzeżeń najwyższej jakości. Nie zawższe ta szczerość jest bezpośrednią, choć najczęściej tak bywa. Wrażenie bezpośredniości zaciera język, sięgający często do motywów z różnych pokładów kulturowych.

Ta sprawa jest dla twórczości Wata ogromnie znamienna. Odwoływanie się do różnych tradycji kulturowych nadaje wierszom jego sens ogólniejszy, możliwość szerszej interpretacji, możliwość podstawiania pod te rekwizyty — innych znaczeń. Ciekawe jest upodobanie poety do motywów biblijnych. Czasem to tylko nie znaczący ornament stylistyczny, częściej jednak jest to zbieżność o głębszym znaczeniu. Wat szuka w Biblii wartości aktualnych zawsze. *Trzy sonety* i wiersz bez tytułu (s. 81) potwierdzają, że sens tamtych zdarzeń potrafi poeta przenieść we współczesność. Oto wymieniony wiersz bez tytułu:

Umył ręce i włóczył  
bez zmruczenia powiek  
przebił Mu bok.  
I rzekł:  
Oto Czowiek.

Ta rzecz się powtarza od wieków  
wieku  
i mówi ona głośniej  
od wszystkich głosów  
ziemi i nieba  
o człowieku.

Poza tym jest milczenie.  
Dobrze, że czeka  
na każdym rozdrożu  
na zdrożonego  
człowieka.

Wat nie jest nigdy jednoznaczny. Broni się przed tym jak może: mówieniem o współczesności, rekwizytami tradycji kulturowych, nadaniem lirycznej narracji logiki wizji sennej. Przecież „Sny” to tytuł całego cyklu. Ale to nie odbiera wierszom wagi dokumentu współczesnego odczuwania poetyckiego. Mówi Wat: „...liryk jednoczy świat uożsamiając ze światem swoje malutkie „ja”...”

Tadeusz Klak

„Mistrz Twardowski”

Jerzy Molenda (Twardowski) i Henryk Rucki (Mefisto)



# Lubelska prapremiera

BOLESŁAW RESCH

Sądzę, że należy rozpocząć rozważania na temat lubelskiej prapremiery „Mistrza Twardowskiego” od wyrażenia kierownictwu teatru uznania za odwagę, ambicję i podjęcie ryzyka wystawienia dzieła lubelskich autorów. Wynikło z tego niewątpliwie wydarzenie w życiu kulturalnym naszego miasta — wydarzenie, które powinno za sobą pociągnąć nader pozytywne następstwa. W tekach lubelskich literatów i kompozytorów znajdują się utwory oczekujące na „zmiłowanie” instytucji i przedsiębiorstw (straszne określenie!) powołanych do upowszechniania między innymi i rodzimej kultury. Po scenicznej realizacji dzieła dwu pierwszych szczęściarzy, w serca lubelskich twórców niewątpliwie wstąpiła nadzieja: „może i ja wreszcie się doczekam!” Stąd chyba i poważny bodziec do dalszej pracy i twórczości. Chodzi o to, by nadzieje przestały być nieiszczalnymi. Wiem, że gotowe dramaty mają między innymi Stefan Wołoski („Piotr Ściegienny”), Eugeniusz Gołębiowski („Giordano Bruno”). Wart, moim zdaniem, jest wystawienia balet

Aleksandra Bryka „Lampa Aladyna” (według libretta Marii Szczepowskiej). Nie wykluczam możliwości, że szansa scenicznej realizacji mogłaby skłonić też któregoś z młodych literatów lubelskich do podjęcia śmiałej próby służenia Melpomenie. Trzeba te szanse stworzyć. Pierwszy krok został zrobiony. Krok ten jest właśnie prapremiera „Mistrza Twardowskiego” w Lubelskiej Operetce.

Przedstawiony punkt widzenia na sam fakt wystawienia rzeczy miejscowych twórców, jako na wydarzenie być może przełomowe, determinuje, jak mi się wydaje, zastosowanie jakiejś szczególnej skali oceny samego utworu. Oczywiście nie mam na myśli taryfy ulgowej, w imię której można by pod pozorem zaspokojenia lokalnych ambicji wystawić szmirę, tylko dlatego, że powstała w Lublinie. Według mego skromnego zdania, „Mistrz Twardowski” jest utworem dobrym i, mimo oklepanego i wyeksploatowanego na wszystkie strony tematu, w pewnym sensie nowym, w szczególności jeśli chodzi o jego walory widowiskowe. Muzykę oceniam jako przyjemną, łatwo przyswajalną, choć mało oryginalną. Libretto, moim zdaniem, zawiera może zbyt dużo zwrotów łacińskich, co jest wprawdzie historycznie uzasadnione, ale dla prze-

ciętego współczesnego słuchacza czy ni niektóre partie tekstu niezrozumiałymi. Na przykład bardzo dowcipny i pikantny dialog między Twardowskim a Barbarą z Czartoryi w ostatnim obrazie jest dla bardzo wielu widzów niestety „tureckim kazaniem. Jednakże trzeba przyznać, że omawiane libretto jest napisane piękną, soczystą staropolszczyzną.

Na temat „Mistrza Twardowskiego” słyszałem bardzo różne zdania. Wydaje mi się, że skrajnie nieraz różnice w ocenach wynikły po prostu z zasadniczego nieporozumienia. Gdzieś, ktoś, kiedyś napisał czy powiedział (jeszcze przed premierą), że „Twardowski” to operetka. Stąd pewne oceny według kryteriów odpowiednich dla tradycyjnej operetki — nie widowiska muzycznego. Nie podejmuję się szczegółowej oceny widowiska — dokonali jej lubelscy recenzenci prasowi — wolę zacytować Jerzego Waldorffa, który w „Sekretach Polihymni” tak pisze o walorach aktora operetkowego:

Suma umiejętności fachowych, niezbędnych dla dobrego aktora operetkowego, jest większa od potrzebnych w jakiegokolwiek dziedzinie teatralnej. Prócz specyficznego chodzenia i tańczenia aktor ten musi umieć w inny sposób nosić współczesny frak, a w inny stylowy kostium. W operze wystarczy dobrze śpiewać, w operetce ponadto trzeba mówić, prowadzić dialog niegorzej niż w teatrze dramatycznym, do czego dochodzi problem szczególny: konieczność wielokrotnego przedstawiania emisji głosu ze śpiewu na mowę i z powrotem. Wreszcie cała ta wiedza fachowa musi być podparta bogatym, wszechstronnym talentem.

Tak więc, choć słusznie stwierdzone zostało, że pod względem aktorskim „zespół zrobił duży krok naprzód”, sądzę, że aktorzy lubelskiej operetki nie spoczną na laurach i że zrobią wszystko, by ten duży krok naprzód był pierwszym na drodze do stałego i systematycznego rozwoju.

Chcąc w pełni ocenić wysiłek włożony w przygotowanie widowiska, nie sposób pominąć sprawy na ogół przemilczanej w recenzjach. Chodzi mi o warunki pracy teatru. Ciężkie klitki-garderober, prymitywne urządzenia zaplecza, niemożliwość zastosowania nowoczesnych urządzeń świetlnych, tak niezbędnych dla widowiska typu „Mistrza Twardowskiego” — to tylko wrywkowy rejestr ilustrujący arcy ciężkie warunki pracy w lubelskiej operetce. Sądzę, że wzięcie tego pod uwagę nie może pozostać bez wpływu na ocenę pracy zespołu aktorskiego i ludzi, o których również w recenzjach fachowych się nie wspomina — pracowników zespołu technicznego.

Chciałbym dodać na zakończenie, że można by, a nawet należałoby, zaryzykować wyjazd zespołu — oczywiście po dokonaniu pewnych poprawek i retuszu — do innych miast Polski. Myśl tę poddaję pod rozważanie dyrekcji i rady artystycznej teatru.

góle komponować „Mistrza Twardowskiego”? Przy „Mistrzu Twardowskim” — wiekowa „Piękna Helena” Offenbacha, utwór skrzący się do wciapa, groteską, uroczym wykpiwającą zbanalizowane przez podręczniki szkolne perypetie trojańskie — wydaje się szczytem awangardy tego gatunku. Gdyby Gołębiowski spojrzął na bajkę o Twardowskim przez zmrużone oko, uwspółcześnił ją — trud jego byłby się oplacił. Aż prosiło się o to! Twardowski zapzarowany na Łysej Górze mógłby zaplątać się w nasze czasy, a potem odlecieć na księżyc na sputniku — czy coś w tym rodzaju, a jestem przekonany, że widownia bawiłaby się znakomicie, darując niedostatki muzyce i wykonawcom.

Pomiędzy dwoma widzianymi przeze mnie w Lublinie spektaklami przechodzi pewne podobieństwo. W teatrze im. Osterwy spotyka się ambitny reżyser, zdolny scenograf i zespół, który nieraz dowiódł swej dość wysokiej klasy. W rezultacie wszyscy razem nie potrafili nic ciekawego zakomunikować widzowi. To samo w Teatrze Muzycznym: wytrawny pisarz i zdolny kompozytor tracą czas, wiele miesięcy pracy, aby wreszcie poczęstować publiczność utworem bez daty, adresowanym do nikogo. Pozostaje jedynie nadzieja, że po starcie tak życzliwie przyjętym „spółka Gołębiowski-Talarezyk” błysnie utworem wyższego lotu i głębszej (to znaczy dowcipniejszej) treści.

Konrad Eberhardt

## GRZEGORZ TIMOFIEJEW Chwile

„Zegar północ wybija.  
Ustąp, melankolija!”

Znajome przeszły kroki:  
Na ciszy ślad głęboki.

I on się z czasem zatrze...  
O, chwile coraz rzadsze,

Ponocne zamyślenia,  
westchnienia, przypomnienia!

Zmęczona skroń się skłoni,  
W przypiływach snu utonie.

I smutek z nią opadnie.  
Spocznie jak kamień na dnie.

Dekoracje, mimo ciekawego na pierwszy rzut oka zestawienia barw — jednak nieładne. Projekty kostiumów nawet bardzo nieładne. Ze zdumieniem przeczytałem nazwisko scenografa, Wojciecha Krakowskiego u dołu programu. Swoistym ewenementem był ubiór dra Ranka, który pojawił się w kuszach spodniach z jasnej flaneli do ciemnej marynarki. Na tym tle Nora w kostiumie maskaradowym wyglądała jakby przybiegła z jakiejś sztuki Gombrowicza.

Publiczność, tak często surowa i niewyrozumiała dla arcydzieł — tym razem dopisała.

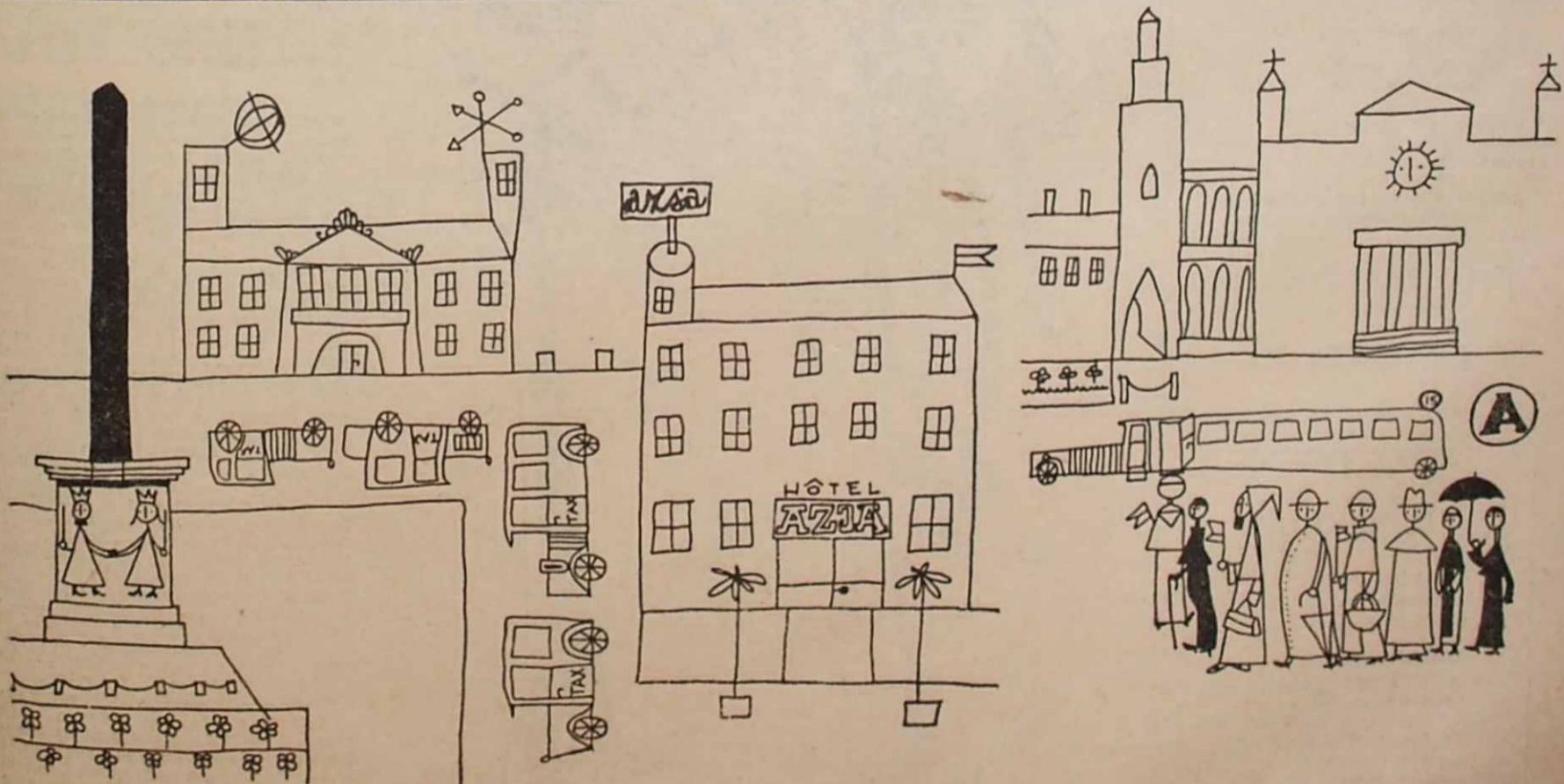
### WIECZÓR DRUGI: „MISTRZ TWARDOWSKI”

Akurat „Teatr i film” opublikował oficjalne dane, z których wynika, że Państwo Polskie wydało 24.587 dolarów tytułem tantiem za ramoty Lehara, Kalmana, Frimla i in. Nasuwa się wniosek prosty: należy grać operetki albo bardzo stare, których prawa autorskie wygasły, albo bardzo współczesne, rodzimych autorów. Lecz skąd je wziąć? Jaskółka w postaci operetki Aniolkiewicza i Cyglera „Skrzydło Dedala” nie sprowadziła wiosny. Obawiam się, że widoki muzyczne Talarezyka (muzyka) i Gołębiowskiego (libretto) również jej nie zapowiadają. Niemniej „przedsięwzięcie artystyczne” dwóch lubelskich twórców miało znakomitą prasę: opublikowano entuzjastyczne recenzje, wywiady z autorami, fotografie. Premiera stała się niemal rodzinnym świętem.

Przykro mi, że przyjdzie mi zmącić ten nastrój premierowy kilkoma cierpkimi uwagami. Dopuszczę się tego jednak ośmielony świadomością, że nie rzucam kłód pod nogi autorom niedocenionym, przemilczanym, nie mającym możliwości ukazania światu plodów swego ducha. Rzeczy się przecież mają wręcz przeciwnie.

Byłem więc na „Mistrzu Twardowskim” — obejrzałem i wysłuchałem. Rzecz została wystawiona nader starannie, pozostawia wrażenie przyjemne i nie nudzi za dużo. Muzyka, będąca nieszkodliwym coctalem ech operowych i własnych pomysłów, daleka od pokus nowoczesności, zawiera, obok partii rozległych i stylizacyjnie nieokreślonych — fragmenty melodyjne. Muzycznie udana, dynamiczna jest cała odsona pierwsza, duet Płetki i Jagustyńki w odsonie trzeciej. Nieznośna natomiast i muzycznie, i choreograficznie wydała mi się noc na Łysej Górze oraz rozwlekła, bezbarwna odsona na Wawelu. Libretto zostało opracowane starannie, obok działo brzmiających wierszyzków w rodzaju „Petronelka to dziewczuska i do tańca i do łóżka” — wpadają w ucho strofy niepozobawione czasem poetyckiej świeżości.

Nie zamykamy jednak oczu na zasadnicze nieporozumienie. Niezależnie od momentów mniej lub bardziej udanych: po co było w o-



Jean Padée — z cyklu „Baedeker lubelski”

STEFAN KAMIŃSKI

## Hańcza zamarza

Ona, nie nie mówi.  
Zastygły bódra rzecznych zakrętów  
zapadł się nurt — serce oblodzone.  
Dlaczego tutaj przyszedłem?  
Mówię coś po ciebie  
— szybko bez sensu.  
Jak mówi człowiek, który kocha?..

Objęła miasto zmęczonym ramieniem,  
przytulona i już spokojna.  
Płynię zawsze tak samo.  
Mówi zawsze to samo,  
Hańcza — zmęczona żona.

Kiedy strzaskasz ten lód,  
miła?

Nie mów, że lekko jest,  
kiedy pada śnieg otworzyć usta.

Nie mów, że ziemię masz  
pod ośmieszonymi butami —

Nie mów, że łatwo jest  
śnieg otrząsnąć.

Polóż na kolanach płaszcz  
— płatek śnieżny i przynies do domu.

Czy udźwigniesz?

IRENA KOZIEJOWSKA

## Młyn

Wielki młyn  
pracuje bez przerwy:

czarne skrzydło  
białe skrzydło,  
czarne skrzydło  
białe skrzydło..

Jak mąka  
syplą się  
zmielone łosy.

Niedoleźni starcy,  
dzieci niewiedzące,  
ciężarne kobiety  
i silni mężczyźni —  
każdy z nich wziął  
swoją wór na plecy  
i idzie..

— Dokąd? Którędy?

A każdy wór jest dziurawy,  
syple okrucami życia

przez dnie i noce

białe skrzydło,  
czarne skrzydło..

A kiedy wór się opróżni  
podróżny  
otwiera ręce..

...O drzewko las jest biedniejszy,  
o krzyżek cmentarz bogatszy  
nic więcej..

A młyn pracuje, pracuje..

...czarne skrzydło  
białe skrzydło,  
czarne skrzydło  
białe skrzydło..

JERZY TWARÓG

## Egzekucja

Widziałem rzeźby  
gipsowe posągi  
rozety zdobiące ściany

Widziałem ludzi  
co mieli usta  
zagipsowane

Po suchej salwie  
z rękami w górce  
mleżące konali  
przy murze

(Dokończenie ze str. 1)

— No to w porządku. Partyzant też  
żołnierz. Gdzie się pan zatrzymał? W  
Skrobowie. Aha. Daleko to?

— Będzie z piętnaście kilometrów...

— Są tam gospodarstwa? Może zie-  
mia lepsza niż tutaj. Jeszcze nie zaczę-  
liśmy nie robić, można by się przed zim-  
ną przeprowadzić...

— To małe miasteczko...

— Miasteczko? — zdziwił się żołnierz.

— A myśmy myśleli, że do samej gra-  
nicy nie ma już żadnych miast. Do  
miasta nie pojedziemy. My wszyscy tu-  
taj jesteśmy rolnikami. Wszystko jed-  
no, zostaniemy...

Michura dokończył papierosa i po-  
żegnał swego rozmówcę.

Z wioską ciągnęły się uprawne  
pola, a na horyzoncie widniała  
ciemna linia lasu. Pola, tak samo  
jak w okolicach Skrobowia, były mar-  
twe. Nie kręcił się nikt z plugiem, nie  
widać było ani kawałka oziminy. Zie-  
mia, dobrze odkarmiona przez byłych  
właścicieli, rodziła tylko bujne chwasty.  
Rozwidniło się już zupełnie. Porywisty  
wiatr rozdarł na strzępy jednostajne  
chmury, odsłonił rąbek nieba. Michu-  
ra przyspieszył jazdę. Pochylił się nad  
kierownicą i wykorzystując pochyłość  
pomknął w stronę lasu. Od czasu gdy  
rozstał się z oddziałem partyzanckim,  
po raz pierwszy znajdował się w cieniu  
drzew leśnych. Las był inny niż na  
Lubelszczyźnie. Znać tutaj było rękę  
gospodarza, tak jak w każdym innym  
miejsce. Znać było niemiecką systema-  
tyczność. Drzewa rosły w jednej linii,  
uszeregowane jak żołnierze na zbiorce,  
podszycie było gęste i wilgotne. Michu-  
ra wciągał w płuca zapach sosny i  
świerków, rozglądał się w koło i ulega-  
jąc staremu nawykowi obliczał w myśl-  
lach, gdzie najlepiej byłoby zrobić za-  
sadzkę na niemiecką kolumnę. Pokonał  
małe wzniesienie i, gdy znalazł się na  
jego szczycie, zauważył na drodze dwóch  
żołnierzy. Szli wolno w jego kierunku,  
zajęci całkowicie rozmową. Przez chwile-  
kę pomyślał, czy nie lepiej byłoby ukryć  
się w lesie, potem przypomniał sobie,  
że przecież w wiosce mieszkają osadni-  
cy wojskowi i na pewno ich patrol wra-  
ca do domu. Jechał więc spokojnie i bez  
lęku. Gdy znajdował się o kilka kro-  
ków od żołnierzy, jeden z nich podniósł  
rękę.

— Skąd i dokąd to, ptaszku? — za-  
pytał.

— Nie wasz interes — odparł Michu-  
ra. Zatrzymując rower, oparł się nogą  
o ziemię i nie zsiadając czekał na roz-  
wój wypadków.

— Daj w mordę skur... to się nauczy  
grzeczności — doradzał drugi. Był ni-  
ższy od swego kolegi, wiał od niego  
odór alkoholu i leśnej zgnilizny. Wyższy  
skinął ręką, uspokoił go i podchodząc  
do Michury rozkazał:

— Zejść z roweru.

Michura wykonał rozkaz bez oporu.  
Zdawał sobie sprawę z tego, że bez-  
pośrednie niebezpieczeństwo nie grozi  
mu, jeśli okaże uległość.

— Dokumenty proszę...

Podał posiadaną przy sobie metrykę  
urodzenia. Niższy żołnierz zdjął z ra-  
mienia automat i jak gdyby bawiąc się  
wprowadził nabój w lufę. „Kim oni  
są? Jakże mają względem mnie zmiara-  
ry?” — myślał Michura. Spojrzał przed  
siebie. Droga była pusta i gładka. Żol-  
nierz skończył czytanie metryki.

— Gdzie mieszkasz?

— Chcę wiedzieć z kim rozmawiam...

— Odpowiadać na pytania albo...

Niższy zmierzwił, wystrzelił i śmie-  
jąc się wskazał wronę opadającą z sze-  
roko rozpostartymi skrzydłami.

— W Skrobowie...

— Osadnik wojskowy?

— Nie.

— Dlaczegonosisz mundur?

— Nie mam innego ubrania. W mun-  
durze wyszedłem z lasu i jeszcze się nie  
dorobiłem.

— Partyzant?

— Tak.

— Z jakiego oddziału? Kiedy wy-  
szedłeś? Gdzie pracujesz?

# ŻYCIE JEST MIŁE

— Powiedźcie, do diabła, o co wam  
chodzi i czego chcecie! — wybuchnął  
Michura. Ta zabawa w chowanego, w  
której on miał odsłaniać wszystkie karty,  
zaczęła go niecierpliwie i denerwować.  
Zrobił ruch naprzód, lecz w tej  
samej chwili niższy przyłożył mu lufę  
do pleców.

— Zaczekaj, kochasiu. Jeszcze poga-  
damy.

Wyższy przez chwilę wpatrywał się  
w oczy Michury, po czym odebrał z jego  
rąk rower, pchnął go do rowu.

— Szpiclu! — syknął przez zęby. —  
Powiesz prawdę czy nie?

Michura zaniepokoił się nie na żarty.  
W czasie walk staczących przez jego  
oddział nauczyli się patrzeć śmierci w  
oczy. Szedł na przykład śmiało z ładun-  
kiem trytolu na plecach, aby podło-  
żyć go pod tory kolejowe, wpadał bez  
drżenia do siedzib niemieckich żandar-  
mów, ale nie zdarzyło mu się nigdy,  
aby w okolicy serca, pod lewą łopatką  
czuł twardy ucisk lufy. To było zupeł-  
nie inne uczucie od tego, jakiego dozna-  
wał w walce.

„Co robić?” — myślał. — „Ten  
dureń może rzeczywiście pociągnąć za  
cyngiel, a wtedy upodobni się do tej  
wrony, co leży między drzewami”. Czuł,  
że wzbiera w nim rozdrażnienie, czuł,  
że jeszcze chwila takiej niepewności,  
a postawi wszystko na jedną kartę.  
Twardy ucisk lufy dokuczał mu coraz  
bardziej. Zwrócił się do wyższego żoł-  
nierza:

— Niech pan powie swemu kompano-  
wi, aby był łaskaw cofnąć swoją pu-  
kawkę od moich pleców.

— Niech pan powie swemu rozumowi,  
że lepiej powiedzieć wszystko, a wtedy

pukawka nie będzie straszyc — pada  
uprzejma odpowiedź.

— Co chcecie wiedzieć? Jestem by-  
łym partyzantem, mieszkam w Skrobo-  
wie, pracuję w spółdzielni, jadę do Giub-  
czycy — wyskandował.

— Kiedy wyszedłeś z lasu i w jakim  
oddziale służyłeś?

— To nie należy do sprawy...

— Pan sędzia tak zawyrokował? —  
zapytał niższy i mocniej nacisnął auto-  
mat.

— Właśnie należy. Czekam... — dodał  
wyższy.

— Armia Krajowa, oddział porucznika  
Hardego. Czy wystarczy?

— Jeszcze nie. Jak to się stało, że je-  
steś tutaj zamiast tam, dokąd powoła-  
ła ciebie Ojczyzna? Odpowiadaj...

— Oddział został rozwiązany. Wyje-  
chałem na zachód. Wystarczy?

Nie oglądając się za siebie Michura  
stwierdził, że żołnierze wymienili między  
sobą porozumiewawcze spojrzenia. Czuł,  
że nie bardzo wiedzą, jak mają  
postąpić i co z nim zrobić. Od następ-

nych słów uzależnione było jego życie.  
Nie bał się. Ostatecznie już dawno po-  
godził się z myślą, że zamknie oczy  
wcześniej od innych, więcej — były  
chwile, że pragnął tego, że miał zamiar  
sam przyspieszyć koniec. A jednak te-  
raz spoglądał wokół siebie. Las szumił  
swoją odwieczną pieśń życia, przestra-  
szone chmury rwały gdzieś bez celu, w  
kieszeni leżał plan rozwoju spółdziel-  
ni, w domu była Liza. Tyle spraw czę-  
kało na załatwienie, tyle spraw związa-  
ło go z życiem. Nie chciał umierać.

— Wystarczy? — ponowił pytanie.

Wyższy żołnierz stanął przed nim. Rę-  
ką ujął go za brodzie i podniósł mu głowę  
wysoko. To było nie do zniesienia.  
To było coś więcej niż sprawy, które  
wiązały go z życiem. Odrzucił rękę,  
szarpnął się w bok i stanął twarzą w  
twarz do swoich prześladowców.

— Strzelaj! — krzyknął do niższego,  
który przykładał automat do ramienia.  
— Strzelaj, gówniarzu. Nie zabił mnie  
Niemcy, zabij ty...

Nie wiadomo, czy nie byłyby to  
ostatnie słowa, jakie wypowiedział w  
swoim życiu, gdyby nie fakt, że w tej  
samej chwili na skarpie rowu oddział-  
jącego drogę od lasu stanął młody ofi-  
cer.

— Stój! — krzyknął. Żołnierze, którzy  
zaczepili Michurę, stanęli na baczność,  
wyższy pobiegł meldować, Michura od-  
wrócił się i spojrzał na przybyłego. Ofi-  
cer liczył sobie nie więcej niż dwadzieś-  
cia trzy lata. Miał na sobie nienaganny  
mundur, rogatywkę, płaszcz-namiot za-  
pięty tylko pod szyją i buty-oficerki.  
Całe jego u brojenie składało się z pi-  
stoletu znajdującego się w skórzanej  
kaborze... Oficer wysłuchał meldunku,  
przeskoczył przez rów i stanął przed Mi-  
churą.

— Proszę iść naprzód i nie oglądać  
się...

Michura wiedział, co to znaczy. Ileż  
to razy w ten sposób wykonywało się  
wyroki... Stary sposób i od lat prakty-  
kowany.

„Nim ujdę dziesięć kroków, padnie  
strzał. Oczywiście ja go usłyszę jak  
przez mgłę. Poczuje tylko mocne uderze-  
nie i zwałę się twarzą w dół” — my-  
ślał. Szedł wolno i odliczał każdy krok.  
Raz... dwa... trzy... cztery... Choćbyś  
nie lubił życia, choćbyś je sobie lekce-  
wał, jakże trudno iść na spotkanie  
śmierci. „Pięć... sześć... siedem... Jesz-  
cze tylko te trzy kroki. Przynajmniej  
po mnie nie będzie nikt rozpaczal...  
Jest życie pozagrobowe czy nie... Dzie-  
więć... dziesięć... A więc teraz, w tej  
chwili... Właśnie podnosi automa... na-  
ciska cyngiel... Jedenaste... dwaście...  
A więc nie strzelił. Odległość jest za  
bliska, a on nie chce patrzeć, jak bę-  
dę orał ziemię pazurami. Strzelił dopiero  
przy piętnastym kroku. Niechby już raz  
był koniec. Trzynaście... czternaście...  
piętnaście... Co to ma znaczyć? Dlaczego  
nie strzela? To barbarzyński bawie  
się z człowiekiem jak z kurapatwa-  
Strzelił przy dwudziestym kroku. Szes-  
naście... siedemnaście... Mierzy. Cóż  
prostszego jak dać ten strzał do takiego  
celu? Strzelił na pewno ten niski i naj-  
bardziej chamski. On się nadaje do ta-  
kiej roboty. A jednak żał życia... Zgi-  
nął tak głupio i tak bez sensu — to  
naprawdę trzeba mieć pecha. A gdyby  
tak?... Jedna szansa na dziesięć... To  
wcale nie mało...”

Michura rzucił się w bok, padł w ro-  
wie. Seria z automatu przesła obok  
niego. Zerwał się, znów padł na nasy-  
pie, poczuł, że rozdarł prawą rękę gdzieś  
w okolicy łokcia o ostry kamień, stoczył  
się w dół i klucząc pobiegł między  
drzewami.

Adolf Lekki



# CZYŻBY NIEZNANY FRAGMENT

## „Pana Tadeusza”?

Ukrywający się pod imieniem Michała-Lublińnianina p. M. J. przysłał do „Kamenu” znaleziony wśród pozostałych papierów fragment poetycki. Redakcja naszego pisma zastanawia się poważnie, czy nie stoi w obliczu frapującego odkrycia. Sprawę tę polecamy uwadze lubelskich mickiewiczologów.

O zimno! kłóż w mym kraju ciebie nie wspomina,  
Gdyś jak dziewica moru, cała bladolina,  
Szła znać zapadłych mogił, znać głuchych cmentarzy  
Z chustką skrwawioną w ręku, z tajemnicą w twarzy!  
Ciebie zwycięzcy, ciebie armia rozgromiona  
Widziała, jak szklanymi oczyma wpatrzona  
W bieg krwawych dziejów, drwiłaś z mocy i ze sławy.  
Twój lodowaty uśmiech wśród śniegów kurzawy  
Widziały dzieci głodne, u nóg matek mrojące,  
Tym uśmiechem straszylaś rozbitków tysiące,  
Wykuwałaś go w twarzy żołnierza, gdy konał,  
I ścisłaś uśmiechem tym Napoleona.  
Ja ciebie dotąd widzę, o widmo ponure,  
Ponad luną miast w dymu owinięte chmurę,  
Po drogach szalejące w dzikiej zawierusze,  
Słyszę cię jak krzyk ludzki wsiąkły w nocną głuszę.  
Czuję twój mroźny oddech, co przenikał ciało,  
Jakby serce chciał zdiawić, by nie kołatało,  
Gdy szedłem nieraz skrycie na grób ojca świeży  
Wyplakać bezmiar smutku i żal gorzki zwierzyć.  
Zimno, twój obraz w księgach cały się nie zmieści,  
Ale w pieśni zostanie, przetrwa w gminnej wieści.  
Lud w sercu chowa dzieje, nie zmieni ich rysów,  
Bo lud wierniejszy jest od wszystkich dziejopisów.

W Soplicowie od lata wiele się zmieniło,  
Znikła wesołość gwarna i osób ubyto.  
Tadeusz nie powrócił, Sędzia miesiąc temu  
Wyjechał z Telimieną, a pieczę Wojskiemu  
Powierzył nad folwarkiem, przyrzekł też z podróży  
Powrócić rychło. Odtąd każdy dzień się dłuży.  
Nikt biesiad nie wyprawia, rzadko się nagodzi  
Gość jaki, choć to przecież mięsopust nadchodzi,  
Czas, w którym szlachta zwykła urządzić szlichtady,  
Z brzękiem dzwonek, z hałasem najeżdżać sąsiady,  
Z muzyką, pieśnią, śmiechem pędzić przed gościnniec,  
Wjeżdżać w otwarte wrota, wypełniać dziedziniec  
I wchodzić w progi domu przy blasku kagańców.  
Teraz cisza zawiewa z nieboskłonu krańców,  
Drogi puste, dwór wokół zasypany śniegiem,  
Topole czarne ciągną się długim szeregiem,  
Jak gdyby odchodzili powoli w dal siną.  
Znowu minął dzień jeden, mroki wieszad p'yną,  
Mroź się wzmaga, śnieg chrzęści, ktoś wszedł, drzwi  
zatrzasnął,

Okna zagasty, dom się uciszył i zasnął.  
Tylko w jednej komnacie dopala się świeca,  
To Zosia czeka cłoci. Na jej blade lica  
Pada światło ruchliwe i rozpędza cienie.  
W kąciakach ust ściągniętych tai się cierpienie.  
Oczy patrzące w płomień, jak w przestrzeń daleką,  
Mglą zachodzą, ciemnieją, wreszcie pod powieką

## List z Łodzi

# O naszych laureatach

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

Byłem już mocno pod wąsem, kiedy Łódź, jedna z pierwszych, ustanowiła nagrodę za wybitne osiągnięcia w dziedzinie nauki, literatury i sztuki. Do laureatów zaliczono czeka na dziesięć tysięcy złotych, co stanowiło bardzo dużo w przedwojennych czasach.

Któż mógł być pierwszym laureatem? Oczywiście, Julian Tuwim (1928). Dalsze nagrody: Zofia Nałkowska (1929), Aleksander Brückner (1930), Władysław Strzemiński (1932) i...  
Ale jeszcze o Strzemińskim. Twórca unizmu siedział na marnej posadce nauczyciela w Koluszkach. Wyciągnął go stamtąd tańczył Wydział Oświaty, Przeważał Smolik, jak wiadomo, ezbowiek światły i sam literat. Nagroda utorowała Strzemińskiemu drogę do rozgłosu, ale i zainaugurowała żaźarte boje wokół sprawy, kogo i jak nagradzać.

Ale plastyczne rozrobki okazały się niczym wobec niezwykłego wydarzenia w r. 1933. W tym to boiście czasie świętemu Andrzejowi w Łodzi odebrano ulicę. Ścisty potraktował tę ziemską sprawę z całkowitą obojętnością, ale w jego obronie wystąpili endecy. Sala Rady Miejskiej była widowiskiem żaźartych bojów fanatycznych wielbicieli świętego Andrzeja z „bez-

Łza wybliska i długo na rzesach się waży,  
Nim się iskra potoczy po zboliałej twarzy,  
A wtedy jak émy przelot puszysty i miękki  
Przemknie i dotknie lica pośpieszny ruch ręki,  
Która ledwie się wzniosła od robotki ściegu,  
Opada lotem drżącym niby platek śniegu.  
Nad głową cień się skrada, wydyma się, kureczy,  
Wypełza na powałę niby łeb jaszczurczy,  
Przybliża się złowrogł, cufa, kształty zmienia  
I osacza ze wszystkich stron znową milcenią.  
Dreszcz przejął całe ciało, jakby żył wiatr nawiał.  
Zosia zsunęła chustę na sobie poprawia  
I załamawszy dłonie ponad bielą plótka  
Znów tonie w zamyśleniu jak Madonna smutna  
Z obrazu szerniałego flamandzkiej roboty.  
W ciszę nocy się syją zegara tykoty,  
Kąg światła to się lekko rozszerza, to zwęza...  
Wtem pies zaszczał w dali. Zosia słuch natężyła,  
Wstaje, bieży do okna, w otwór okiennicy  
Patrzy długo, a wreszcie powraca do świecy  
Zawiedzona i znowu nad robotką śliczy.  
Tak spędza noc. Często na krzesła poręczy  
Sparłszy głowę zasypia i dopiero rankiem  
Budzą ją ochmistrzyni hałasy przed gankiem  
Lub nóg tupot z oknem i śmiechy piskliwe  
Dziewek, lub też rozmowy głośne, niecierpliwe,  
Które często pan Wojski toczy z ekonomem.  
(Bo zazwyczaj tak bywa, gdy Sędzia za domem,  
Wojski go zastępuje pilnie i wciąż baczy,  
Zeby zamiarów Pana nikt nie przelinczył).  
Choć starzec przeleżał jesień prawie całą,  
Jednak w nim tyle jeszcze siły pozostało,  
Ze się nie dał chorobie. Kiedyś w listopadzie,  
Gdy żołnierze przypadli do dwu kobiet w sady,  
Wojski z łózka się porwał...

W pozostałych papierach odnalazł

M. J.

HELENA PLATTA

## Złe wspomnienie

Tytoniu tłący strzep  
wśród iskiek papierosa.  
Nikotyń wybujał dym  
aż w kasetonach osiadł.

Zamglony szachownicę szkie,  
skrzep wspomnień:

— — — Młynki do kawy mieleł ulice,  
miasta radiowe —.

Zamknął w prostokątach szuffad  
ludzie  
nocni i dzienni,

każdy w otoczce celofanu  
wykuwał się oddzielnie.

Lecz dymy wysokie opadły  
kaina ofiarowaniem:

splonęło sto tysięcy  
razem,  
razem —  
razem...

bożnikami". W ruch szły kałamarze, piędzi i ponoc ławki.

Ale ostatecznie zwyciężył święcki Andrzej, Andrzej Strug, o niego bowiem chodziło. Otrzymał nagrodę m. Łodzi i ulicę po świętym. Choć (charakterystyczne) nikt po dziś dzień nie mówi w Łodzi: ulica Struga albo Andrzeja Struga, tylko „idź pan na Andrzeja”.

Przytaczam te fakty i garść anegdot na dowód tego, że Łódź posiada swą kulturalną i to postępową tradycję. Przyznanie nagrody Andrzejowi Strugowi w roku dojścia Hitlera do władzy i narastania faszyzmu w Polsce dobrze świadczy o naszych „ojcach miasta” w przeszłości.

„Ludowa rada” wróciła do chwalebnej tradycji przyznawania nagród łódzkich.

Nagrody otrzymali: Mieczysław Jastrun i pośmiertnie Karol Hiller (1946), zastuzona profesor pedagog Helena Kijewska Dobkiewiczowa (1947), L. Schiller — za wystawienie i wyreżyserowanie „Krakowiaków i góralt” (1948), Julian Tuwim (1949)...

Powtórną przyznanie nagrody Tuwimowi potwierdza ogromne przywiązanie robotniczej Łodzi do Jego poezji. We wzruszającym podziękowaniu dla Łodzi znakomity poeta pisał: „Cienie mego miasta i jego blaski stały się nieodstępными towarzyszami mego życia — i gdziekolwiek byłem, czy w Warszawie, czy w obcych stolicach, czy za oceanem — wszędzie i zawsze przysłuchiwałem się bicu mego młodego łódzkiego sumienia”.

W tym miejscu dla ścisłości trzeba nadmienić, że Łódź nie zapomiała i o drugiej swej miłości, o Władysławie Broniewskim, który wieścił przeciw: „Jutro inna budzi się Łódź”. W r. 1946 z inicjatywy Łodzi znakomity poeta otrzymał nagrodę Związków Zawodowych, co stanowiło wysokie odznaczenie z rąk polskiej klasy robotniczej.

Po latach chwały nastąpił okres marazmu: nagrody zniesiono, tłumacząc się „względami oszczędnościowymi”.

Z LITE  
RATURY  
MASON  
SKIEJ



(Dokończenie ze str. 3)

kowskiego zawierała te same myśli i idee, a nawet forma jej była bardzo zbliżona do mowy lubelskiej.

W r. 1815 mistrz katedry Łoży Wolność Odzyskana Urmowski uczcił pamięć zmarłego członka Łoży mistrza Ludwika Korna, majora w polskiej gwardii konnej, przemówieniem w miejscowym kościele ewangelickim. Wypowiedziane publicznie w kościele nie mogło naturalnie nosić wyraźnych cech masonskich, choć mowca wspominał kilkakrotnie o braterstwie łożowym. Mowa ta jest ciekawa przede wszystkim jako nieznanymi utworów wybitnego uczonego i działacza.

Mowca rozpoczęła przemówienie swe od utyskiwań, iż śmierć okrutna kosi coraz to nowe ofiary, a następnie przechodzi do osoby zmarłego. Jak widzieliśmy już z przemówienia Hakenszmita, obowiązkiem wolnomularza polskiego było wierzyć w nieśmiertelność duszy. Według nauki łożowej jedynie dusza nieśmiertelna przeżyje wszystkie materialne jestestwa i nie zaginie nigdy, Urmowski w swym przemówieniu głosił te same idee.

Mowca zwraca się na koniec do zmarłego, jako do brata łożowego:

„Cieniu kochany! Niedawno po powrocie twoim na łono Ojczyzny z wyprawy wojennej witaliśmy cię z uniesieniem, jakie wydaje przyjaźń czysta, przyjaźń prawdziwie braterska, a dzisiaj żegnamy cię znowu i żegnamy w podróż najdalszą”.

Zacytowałem tutaj kilka lubelskich utworów masonskich. Noszą one charakter okolicznościowy i interesują nas obecnie jako ciekawy przejaw epoki i nieznana właściwie karta umysłowego życia Lublina.

Stanisław Małachowski

Dopiero w r. 1954 w rocznicę śmierci autora „Rzeczy czarnołoskiej” przywrócono nagrodę literacką m. Łodzi i związane ją z imieniem Tuwima, aby (czytamy w uchwale) „dać wyraz przywiązaniu ludności do postaci i spuścizny pisarskiej wielkiego poety oraz uczczenia jego zasług dla literatury polskiej i walki polskiego ludu o wcielenie w życie ideałów sprawiedliwości”.

Później ufundowano także nagrody w dziedzinie plastyki, muzyki i pracy aktorskiej, a od niedawna — za wybitne osiągnięcia w zakresie nauk humanistycznych i przyrodniczych oraz medycznych i technicznych. Pierwszym laureatem nagrody im. Juliana Tuwima został Marian Piechal (1955). Następni laureaci literatury: Stanisław Czernik, Włodzimierz Słobodnik i Władysław Rymkiewicz.

Inne dziedziny w ub. latach: Zdzisław Głowacki (za dorobek w zakresie malarstwa sztalugowego, grafiki itp.), Władysław Raczkowski (za zasługi przy powstaniu Opery Łódzkiej), Józef Piłarski (za wieloletnią działalność teatralną w łódzkim środowisku robotniczym i za szereg wybitnych kreacji aktorskich), Albin Lubniewicz (za osiągnięcia w zakresie malarstwa), Kazimierz Jurdziński (za całokształt pracy pedagogicznej i muzycznej), Janina Mieczysława (za zasługi w szkolnictwie teatralnym i na polu choreografii), Konrad Jażdżewski i Władysław Bratkowski (za prace naukowe).

Prasa podawała już nazwiska tegorocznych laureatów m. Łodzi. Przypomnę tylko: wymieniony już Władysław Rymkiewicz, Kazimierz Dejmek, Konstanty Mackiewicz, Kiejstut Bacewicz, Stefania Skwarczyńska i Alicja Dorabalska.

Po raz pierwszy nagrody objęły tak liczne i różnorodne dziedziny literatury, teatru, malarstwa, muzyki i nauki. Dobry to znak. Nie wszystko w „tym mieście” jest złe.

STEFAN ZARĘBSKI

## Mędracy

Chodzą po świecie mędracy, spotkać ich można i teraz: uczą, że człowiek się rodzi i żyje, potem umiera.

Ze kres ma tylko nieśmiertelne, a trwałe kresu nie ma, ze słońce wschodzi, zachodzi, że je okręża ziemia,

Ze dużo bywa prawdziwych, dużo fałszywych blasków, ze z kropel wody morza, pustynie z ziarenek piasku,

Dają przykłady liczne na to co wielkie, co małe, uczą, że czarne jest czarne, uczą, że białe jest białe.

Chodzą po świecie mędracy, z rozwagą ważą słowa, aby przemyśleń trudnych właściwy plód kielkował.

Nie zawsze noszą brody; i nie ma pod słońcem kraju, w którym nie byłoby mędrców. Rodzą się, umierają.

# OBCUJĄC Z MICKIEWICZEM

STEFANIA PODHORSKA - OKOŁÓW

Kiedy w zeszycie mickiewiczowskim „Twórczości” ukazały się swego czasu dwa opowiadania Teofila Sygi („Pierścień z lirą” i „Toast”), nikt z nas, żarliwych wyznawców i pełnych czci wielbicieli poezji Mickiewicza, nie dziwił się, że właśnie „Pierścień z lirą” odznaczony został I nagrodą na Konkursie Mickiewiczowskim w 1935 r.

Utwór ten oddział szczególnie od pozostałych, mniej lub więcej udanych opowiadań z życia i twórczości Adama nie tylko poetyckim polemem, dojrzałością kunsztu pisarskiego, doskonałością w opanowaniu realiów, ale i wybojem tematu, i postawą autorskiej.

Syga postanowił pokazać, czym był i jest, i czym powinien być dla Polaków Mickiewicz jako twórca i jako człowiek. Postawił niejako przed nim zwierciadło ich bólu i tęsknoty, w którym przeglądał się jego ból i tęsknota.

Smiał, a zarazem pełen prostoty eksperyment udał się w zupełności. „Pierścień z lirą” to nie tylko pomnik nieśmiertelnego kultu wieszca, ale i do wóld umiejętności dotarcia do najgłębszych pokładów wrażliwości czytelnika i wydobywania z niej najcenniejszej dla twórcy reakcji: wzruszenia.

Ze zrozumiałą przeto ciekawością wziąłem do ręki tomik pt. „Woda z Niemna”. Męczyło mnie pytanie, włożone zresztą przez autora w usta Marii Goreckiej, córki poety, przy zgola innej okoliczności, czy tak właśnie jest „ukazywany, aby ci, co go nie znali, ci, któ-

rzy przyjdą po nas, widzieli uśmiech dziecka, dobroć samą, ale i ciągle wewnętrzne poruszenie, moc, której by im udzielał”. Czy wydobyte zostały owe, jak mówił Oleszczyński, jeden z najlepszych portrecistów Mickiewicza, „dwa charakteru sprzeczne i uderzające” w osobie Adama?

Zdaje się, że tak. Autor w większości opowiadań, z których dwa („Matka” i „Spotkanie”) mają charakter osobistych wspomnień, nie wprowadza Mickiewicza jako osoby działającej, jak to spotykamy w przeciętnych powieściach biograficznych, ale ukazuje nam jego wizerunek niejako w odbiciu czyjejś pamięci czy świadomości, prze-filtrowany przez doznania osób trzecich — przyjaciół, znajomych, przypadkowych słuchaczy improwizacji, uczestników lub świadków spotkań i rozmów znamiennych. A mogło to być po prostu nawet czytelnicy, jak owa „Matka” z powstania warszawskiego, którą analogicznie do jej położenia fakt z życia Celinny Mickiewiczowej niesie przez barykady na ratunek dzieciom.

W „Kilku słowach od autora” Syga niejako tłumaczy się z pewnych licencji treści, do których się poczuwa, jeśli chodzi o „Appassionate”, „Wernisaż” i „Pierścień z lirą”. Moim zdaniem okazuje on w tej mierze zbytnią skrupulatność. W opowiadaniach tego rodzaju nie tyle chodzi o ściśle odtworzenie i kolejność faktów, nie są to bowiem źródła historyczne, ile o wierne oddanie klimatu, w którym żyją, działają, walczą i cierpią postacie wielkiego dramatu dziejowego i drobnych nieraz, ale na wskroś romantycznych dramatów osobistych. I dlatego śmierć Garczyńskiego w „Epilogu Reduty Ordona”, choć tak dobrze znana z historii literatury, wzrusza nas nie mniej od nieznannej przynajmniej doktorowi Morawskiemu, który, wywołany miłosnym wezwaniem Marii Szymanowskiej, pędzi znad Wołgi do Petersburga, aby zamiast żywej ujrzyć martwą na marach. Choćby nawet cały ten tragiczny spłot wydarzeń był dziełem inwencji autora, opowiadanie nie na tym nie traci, przeciwnie, wnosi świeży ton w kompilacyjny z konieczności charakter przebiegającej części tych mozaikowych prac, w których, przytaczając słowa autora, „Wahrheit überlässt sich der Dichtung”.

Tylko ci, co choć raz zabrneli w pułki realiów mickiewiczowskich, zdają sobie sprawę, ile trudu i troski kosztuje taka mozaika. Jak mocno trzeba się było trzymać prawdy, a jak stanowczo oderwać się od suchej faktologii, żeby z paru szczegółów biograficznych, pamiętnikarskich wzmianek i jednego słabutkiego, choć z głębi serca płynącego wierszyka kresowej poetki, stworzyć taką uroczą gałęź, jak tytułowa „Woda z Niemna”.

Punktem dominującym w tym opowiadaniu jest auroła, jaką daleka ojczyzna otaczała głowę żyjącego poety wygnana. Ale oto płyną lata, poeta dawno już spoczywa na cmentarzu w Montmorency, pochodnia kultu przechodzi do rąk następnego pokolenia. Jesteśmy w Dreźnie, w willi Kraszewskiego. Choć minęło „już lat kilka od czasu, kiedy król pruski, po upokorzeniu Francji, przeistoczył się na rozkaz swego kanclerza w niemieckiego cesarza”, Dreżno ciągle jeszcze nazywano „polskim miastem”. U Kraszewskiego zebrało się na pogawędkę kilku przyjaciół. O kim mówią? O sławie ostatnich dni, o Julianie Klacze, którego tu poufale nazywają „Judelkiem”. I zdawałoby się na razie, że to będzie, zresztą bardzo ciekawa gałęź o Klacze, o jego początkach, o jego rodzinie, o jego dziecinnej przyjaźni z dorosłym Kraszewskim. Gdzie tam! I tego jest dużo, ale nad wszystkim świeci jak słońce pierwsze natchnienie Klaczi — Mickiewicza. Jakże misternie osnuł autor postacie tych dwóch pisarzy dziecinną patriotyczną piosenką: „Tadeusz Kościuszko, czerwone jabłuszko, a szyszka borowa — imperatorowa!”

Na takich właśnie skjarzeniach, wiazaniach zbieżnych momentów, a choćby efektów, polega u Sygi kunszt beletryzowania poszczególnych wycinków przeszłości. Czas i miejsce nie odgrywa tu roli. Akcja dowolnie przerzuca nas z Druskiennik, gdzie „do ustawionych w podwórzach namiotów boi żydzi nosili wodę wiadrami”, do Paryża, z Wilna do Dreżna. I to jest też bardzo w duchu epoki, kiedy to ustawicznie ludzie, bronie i księgi wędrowały „z ziemi włoskiej do Polski” i odwrotnie — znad Niemna i Wisty nad Arno, Leman i Sekwanę.

Z upodobaniem uprawia Syga w swych opowiadaniach dialogi. Biorą w nich udział niemal wyłącznie postacie historyczne i ich wypowiedzi są najczęściej dostojnymi cytatami z ich utworów, pamiętników, przemówień i listów. Jest to zupełnie zrozumiałe. Gdyby raptem autor włożył w usta Mickiewiczowi swoje własne słowa, mogłoby to wywołać efekt wręcz groteskowy. Z drugiej strony ten pietyzm wobec innych osób zapewnia wprowadzenie tak bardzo pożądaną przez autora autentyczność, ale niekiedy obciąża żywą rozmowę balastem o charakterze książkowym. Przecież nie zawsze tak się mówi, jak się pisze. Raczej zawsze mówi się nieco inaczej.

I tutaj autor staje oko w oko z niepokojącym dylematem: co wybrać — czy autentyczny artystyczny, czy dokumentalny. Zwycięża zazwyczaj dokument, ale tak wprowadzając do historii i sytuacji sprawiedliwymi, że na ogół nie razi. Tylko kuty na cztery nogi znawca przedmiotu wyczuje pewną sztuczność dokumentu i dostarczy zniechę-

starej bibuły tam, gdzie autor chciał przetoczyć świeżą krew w zwrotnice żyły pozółtych kart.

Ale najczęściej ta operacja udaje się szczęśliwie dzięki zasobom własnej dynamiki, która pozwoliła mu obłąkać i uskrzydlić temat pozornie tak suchy, jak „Dzieje pierwszych polskich wydań książek Mickiewicza” w innej swojej uroczej pracy: „Te księgi proste”.

W związku z tą dynamiką wyobraźni stoi zdolność ożywiania i wlaśniwego ustawiania postaci oraz dar wynalazczy i przekazywania czytelnikowi namiy do czynienia z człowiekiem, z którym autor stykał się osobiście, jak z Władysławem Jabłonowskim w szkicu „Spotkanie” czy z postaciami, znanymi mu z książek i tradycji, jak Książkiewicz, Niemcewicz, Szymanowska, czy dr Morawski, — zawsze niejako je stymujemy, ale widzimy i obcejemy z nimi.

Nieporównany pod tym względem jest zlot uczestników insurekcji kościuszkowskiej, wiarusów napoleońskich, byłych filomatów i powstańców listopadowych podczas słuchania ostatniej księgi „Pana Tadeusza”. Ten końcowy (V) ustęp z opowiadania „Na chrzcinach Pana Tadeusza”, kiedy każdemu ze słuchaczy pod zaklęciem słowa wieszca staje przed oczyma przeszłość, Pac przeżywa swoją historyczną rozmowę z Napoleonem przed karczmą smorgońską, Książkiewicz — bitwę pod Hohenlinden, a obydwa bezprzykładnie bohaterstwo żołnierza polskiego, — ta scena jest po prostu klasyczna, zarówno przez moc obrazowania, jak przez zwartość języka.

Po zamknięciu książki Sygi uderza jeden fakt, znamienny dla jego opowiadania. Otóż wszystkie z nich, z wyjątkiem jednego („W moskiewskim salonie” i częściowo „Appassionaty”, gdzie zresztą Mickiewicz zjawia się tylko przelotnie) osnute są na motywach z jego wieku męskiego, wieku kłęski, wygnania i tułactwa, który zbiega się z długą popostawianą nocą narodową.

Czy ten wybór epoki jest przypadkowy, czy jest rezultatem „pokręwieństwa z wyboru”? W każdym razie nie chodzi tu autorowi jedynie o zbeletryzowanie mniej znanych faktów z życia poety i ich reperkusji wśród współczesnych mu i następnymi pokolenia, a nawet o zbliżenie postaci wieszca ludziom dzisiejszym. Ze zamiary jego sięgają głębiej, świadczą o tym zakończenie „Kilku słów od autora”:

„W opowiadaniach tych nie stawiam żadnej własnej tezy moralnej. Przeciwnie zainteresowania nasze twórczością i działalnością Mickiewicza płyną także z uderzającej aktualności problematyki moralnej, którą żył poeta. Prawdy objawiane przez twórcę „Książki Pielgrzymstwa” są ciągle żywe i każde po nim pokolenie musi je także na nowo przeżywać”.

Otwórzmy jeszcze raz książkę Sygi. Na str. 85 czytamy słowa Mickiewicza:

„Lękam się, abyście nie myśleli, że walka wewnętrzna jest stratą czasu, jest niepożyteczna światu zewnętrznemu. Od walki wewnętrznej i od zwycięstwa zależy cała siła zewnętrzna”.

„Poznacie po tym słowo prawdy, że pada cicho i leży długo, a potem powoli uschodzi; owocem jego jest miłość i zgoda. Przeciwnie, słowo fałszu, słowo ludzkie, wypada z hukem jak kulka, a zostawia zaraz po sobie ranę lub śmierć”.

Przeżycie na nowo tych niestarzących się prawd mickiewiczowskich ułatwia dzisiejszemu pokoleniu „Woda z Niemna”.

## O czym pisała „Kamena” przed 20 laty

Marcowy nr „Kamena” z r. 1938 zawierał artykuł Jana Nepomucena Millera „Oblicze Struga”, wyjątek z poematu Ołgi Dauksary „Pańszczyzna”, wiersze Tadeusza Bobrowskiego, Anny Nielawickiej, Mieczysława Gleystora, Janiny Brzostowskiej, Jerzego Jastruna, Janina Szereszewskiej, Seweryna Polłaka, Stanisława Wygodzkiego, Wacława Mrozowskiego, Juliusza Wita, Ignacego Tonia, Henryka Czerkiesa, Stanisława Stanisława Kazimierzy Trawkowskiego, Stanisława Szajdaka, Jana Wolfa, Mieczysława Stryjowskiego, Bronisława Węcorkowskiego, prozę „Zima nadchodzi” Bronisława Krystyna Wierzejskiego, przekłady z J. Trakla piora Zenona Wasnińskiego i Jerzego Kamilla Weintrauba, z Oskara Maru Grafa i Stefana Heyma piora Stanisława Lecha, tłumaczenia z poezji rosyjskiej (A. Bielej), Osip Mandelstama, Lew Gumilickij) Józefa Lobodowskiego, K. A. Jaworickij) Józefa Czechowicza, przegląd poezji K. A. Jaworskiego i noty. Numer zebrała wkładka linorytowa Zenona Wasnińskiego „Postój”.

## Pieśń w Alpach\*

JEREMI KRÓLIKOWSKI

Przyjemnie jest i romantycznie, siedzieć na świeżym pniu pod lasem i od-poczywać tak, ażeby ciało i krew nabrzmiały wigorem świeżości. Słońce, grzejąc nas silnie w ten czerwcowy niedzielnny przedwieczór, było jeszcze wysoko, ale zbliżało się do zębatego grzbletu gór i wchodziło w przełęcz między ogromne skały przy jeziorach Roberta a płaski szczyt Chamrusu. Na polanie Kolona, ponad śnieżną smugą kaskady Wielkiej Niedźwiedzicy, lśnił błyszczący dach szalasu pasterskiego. W cieniu głązów, w głębokich rozpachach, tkwił wieczny śnieg. Odbijało się w nim niebo. Znad ciemnozielonych lasów, lekko zabelonych pyłem poloków, unosiły się niesamowicie żółte obłoczki. Widać było wyraźnie gwałtowne uginanie się drzew pod potężnym podmuchem wichury. Puszca fałowała jak lany zboża. Oddychała. Żłoty pył kwitnących lasów, pollen, zamienił się w słońcu w rozżarzone przestworzyste iskierki. Wysoko w górze dwa szybocce krążyły cicho, bezszelentnie. Brzegiem asfaltowej drogi szły dziewczyny na wieczorny spacer Smiały się dzwicznie, spoglądając w naszą stronę. Za nimi, poprzez kilka sosen rosnących na skraju pola, na granicy, widać było gębię niekłej utworzonej przed dwa, długie na kilkadziesiąt kilometrów, masywy gór Kartuskich i Beldońskich. Na jej zielonym dnie, utkanym smukłymi topolami, lśniła wstęga rzeki, świeciły rozrzucone domy, wille i osiedla pnaące się po wzgórzach albo dolinami potoków pod górę. Po środku doliny, tam, gdzie cypel fortecy, Bastylli, jak ostrze miecza wbija się w równinę, nowowbudowane gmachy stolicy Alp wygrzewały w słońcu swoje dwunastopiętrowe kadyduby. Gdzieś z cienia, hen daleko kilkanaście kilometrów od nas w prostej linii, zabłysły na chwilę szybocze samo-

chodu. Niby spokój wokół, a w głębi drga życie, ruch, miłość i cierpienia i skarga. Jose, zawieszony między niebem a doliną, osamotniony na tej wysokości dziewięćset metrów, w pieśni wyrażał tęsknotę. Naturalny rytm, dzwięczność i treść słów, rozgrzewały go, andaluzjski entuzjazm ponosił. Słowa: „madre”, „llorar”, „calor” powtarzały się często. Dziewczyny zatrzymały się pod orzechami. Mięśnie się kolorami ich dzwiczące ciała wydawały się podniecająco piękne.

— Ej, Tonio! Co ty tam tak śpiewasz żałownie, że aż w brzuchu boli? Zaśpiewaj coś dla nas, coś bardziej wesołego!

Dzielił nas łąk zboża, szeroki na jakieś piętnaście kroków. Uczesane były w „żróbka”, za każdym poruszeniem głowy kłta bujnych włosów obiegała odkryte ramiona, szyję, piersi. Obcisłe, kolorowe porteczki uwydatniały aerodynamiczną linię, kształt ciała, zapowiadając niewyraźnymi słowami przeżycia. Żółte, białe i czerwone bluzki, przyciągały oczy. Oto pyłki polle-nu.

— Tonio, my chcemy coś wesołego. Zaśpiewaj „Słowika meksykańskiego!”

— Jutro.

— Tonio!... Dzisiaj! Teraz. Śpiewaj. Tonio śpiewał:

Te canto pensando  
que tu estás, muy lejos;  
hay! madre del alma!  
muy lejos de mí.

Los vientos se llevan  
fjones del alma,  
que yo en mis canciones  
mando para té...  
madre! por la que  
tanto suspiro!... \*\*)

Na drugi dzień dostałem z kraju wiadomość, że moja matka nie żyje. „Bądź dzielny, pisal mi brat. Za życia była bohaterką i męczennicą. Poświęciła się dla nas. Jeśli niebo istnieje — powinna tam już być.”

\* Fragment opowiadania: „Niewygaste zarzewia”.

\*\* Śpiewam i myślę, że jesteś daleko, hej, matko najdroższa, tak daleko stąd! Wiatry przeniosły cząstkę mej duszy, którą w swych pieśniach posyłam ci stąd... Matko, jakże za tobą tęsknię wciąż...



Alpy Beldońskie

Rys. J. Królikowskiego



# PIERWSZE ŻNIWO KRYTYKA

**N**AKLADEM „Pax-u” ukazał się tomik esejów Konrada Eberhardta (\*); młodego krytyka, który wyszedł ze środowiska lubelskiego i u czytelników „Kamienia” nie potrzebuje rekomendacji.

Esaje Eberhardta są lekturą bardzo przyjemną; zasługa to przede wszystkim stylu — potoczny, klarowny, nierzadko błyskający celną metaforą. Gotowa bym się założyć, że Eberhardt pisze łatwo — styl jego także ma w sobie coś lekkiego i niewymuszonego. Pisarstwo Eberhardta jest poniekąd antytezą pewnego rodzaju krytyki uniwersyteckiej, kiedy to spod góry erudycji dobywa się staby pisk indywidualności autorskiej. Eberhardt gospodaruje swą erudycją efektywnie i bez cienia pedanterii; stosunek jego do zjawisk literackich, przede wszystkim do ulubionej literatury francuskiej, jest chłonny i żarliwy; autor „Cienia buntownika” rad notuje każdy fenomen, który go zafrapował, dzieli się bez wahania swymi impresjami, nie lęka się subiektywnych dygresji, lubi nieoczekiwane zestawienia, nie gardzi informacją a nawet obyczajową plotką — i to wszystko składa się na swoisty urok jego esejów.

Po krytykach, wkraczających dopiero w szranki literatury, skłonni jesteśmy oczekiwać postawy zaczepnej, wojowniczej, niesprawiedliwej, a przynajmniej stronniczej, walki o jakis jeden ideał estetyczny czy światopoglądowy. Z latami — zdawałoby się — przychodzi czas na krytykę inną, która nie walczy, nie chce sądzić, ale stara się zrozumieć, opisać, zdefiniować. Tymczasem właśnie krytycy średniego pokolenia z bohaterem Don Kichotem — przepraszam — Don Arturem na czele dają przykład bojowego zacietrzewienia; młodzi, wśród nich Eberhardt, raczej akceptują i analizują daną im rzeczywistość literacką niż wypowiadają jej wojnę. Eberhardt w swojej dotychczasowej działalności zdaje się stawiać sobie za cel krytykę obiektywistyczną, chce uchwycić charakter dzieła, określić pisarza, znaleźć dlań właściwe imię. Czy zawsze mu się to udaje? Czy, na przykład, najistotniejszą sprawą w twórczości Camusa jest „porażenie śmiertelnością”? — to przecież wspólna cecha całej literatury wyrosłej z kręgu egzystencjalizmu, *differentia specifica* Camusa leży chyba w czym innym. Czy sens „Krzesel” Ionesco sprowadza się do demaskowania schematów i konwencji? Czy aforyzmy „Samotność i ocean. Człowiek skazany wówczas na obcowanie tylko z wodą i z sobą — schodzi w głąb siebie” — pomaga nam jakkolwiek bądź zrozumieć Maupassanta, w związku z którym jest wypowiedziana?

Ale te i tym podobne zastrzeżenia nasuwają się p o lekturze; w czasie jej trwania ulegamy sugestywności, z

## ANDRZEJ ZEYLAND

### Są jeszcze

Przystaje, aby spojrzeć  
w twe władze oczy,  
kiedy prowadzisz  
swojego dwunożnego  
brata — człowieka —

z ulicy w ulicę,  
z chodnika na chodnik,  
z dnia do dnia  
wąskim kanałem nocy,

aby nikt  
nie szedł  
w samotności.

Daj mi uścisknąć  
swą kosmatą łapę,  
daj uścisknąć

— są jeszcze psy i ludzie.

# Fredro w Brukseli

Przed kilkoma laty, podczas pobytu w Warszawie trupy teatralnej Jouveta, znakomity aktor francuski żywo się zainteresował „Zemstą” i wyraził gotowość wystawienia jej w Paryżu po dokonaniu przekładu na język francuski. Wkrótce po tym komedję Fredry przetłumaczył Feliks Konopka, zachowując formę wierszowaną. Niestety, nagła śmierć Jouveta przekreśliła realną szansę zaprezentowania Francuzom „polskiego Mollera”.

Rzecz nabrala rumieńców powtórnie w roku ubiegłym. Stało się to tym razem za sprawą bawiącego w Polsce belgijskiego Theatre de Poche, z którym nawiązała kontakt przebywająca właśnie w Warszawie p. Maria Straszewska, reżyser lubelskiego teatru im. Osterwy.

Nielatwa a odpowiedzialne zadanie stanęło przed lubelską reżyserką. Ambasador Polski w Belgii, p. Aleksander Wojski i attache kulturalny, p. Tadeusz Biegański czynili wprawdzie wszystko, co było w ich mocy, aby zadanie to ułatwić, trudności jednak były znaczne. Bo skąd na przykład wziąć odpowiednie kostiumy? Sprowadzić z Polski? Myśl może i zdrowa, ale w wyniku parokrotnych interwencji ambasady udało się zdobyć jedynie dwa pasy szuckie i jedną karabellę (zresztą w stanie nie nadającym się do użytku). Musiano więc pójść na kompromis. Z Opery w Liege, która kiedyś wystawiła „Halke”, sprowadzono 4 kontusy. Ponieważ żupanów Opera w Liege nie po-

siadła, trzeba było zadowolić się rosyjskimi koszulami. Polska reżyserka mogła się jedynie pocieszać, że i tak publiczność belgijska nieświadoma jest pewnie różnic między „rubaszka” a żupanem.

Aktorzy brukselskiego Teatru Mollera, prowadzonego przez „Compagnie Roland Ravez”, pracowali z wielkim zapalem nad trudną, „egzotyczną” sztuką. Pani Straszewska mówi o nich z całym uznaniem, wspominając żmudny, czterotygodniowy okres prób: aktorzy inteligentni, niezwykle pracowici, o wysokim rzemieślniczym. (Na marginesie: wszystkie teatry belgijskie, z wyjątkiem Teatru Narodowego w Brukseli, są prywatne; aktorzy spełniają nieraz funkcje pracowników technicznych — pracy więc mają znacznie więcej od naszych aktorów, ale też i znacznie większe zarobki).

Poprzedzona konferencją prasową w Ambasadzie polskiej — prapremiera „Zemsty” (po francusku, z belgijską obsadą, w polskich kontuszach i rosyjskich koszulach, ale rzetelnie, z dużym wysiłkiem przygotowana) odbyła się przy świetle w przygodnych warunkach, w dwadzieścia i pół godziny przed rozpoczęciem przedstawienia galowym (flagi, członkowie Rządu, telewizji). Pani Straszewska zbierała zasłużone owoce sukcesu. Poehlebne głosy prasy brukselskiej, przyklaskujące zgodnie cennej iniektawie Teatru Mollera świadczyły, że eksperyment się udał. Sztuka wzięła, a co równie ważne — wystawienie jej stworzyło precedens dla dalszych tego rodzaju zagranicznych „debiutów” polskich autorów.

Po udanej premierze miało być jeszcze kilkanaście przedstawień „Zemsty”, m. in. specjalnie dla naszej „starej” emigracji, skupiającej w Belgii około 40 tys. Polaków. Pani Straszewska wróciła do Lublina pełna zapału do dalszej współpracy z teatrem brukselskim. Częściowo już się to realizuje, gdyż przetłumaczono przez nią wraz z belgijskim dramaturgem p. Jean Mogin sztukę Rittnera „W małym domku” wchodzić właśnie na ekrany brukselskiej telewizji. Poza tym p. Straszewska tłumaczy „na nasz użytek” kilka sztuk Mogina i innego wybitnego przedstawiciela dramaturgii belgijskiej — Hermana Cloussona.

A. J-T

\* Konrad Eberhardt: „Cień buntownika”, PAX, Warszawa 1957.



# ŁATKI PIĄTEGO MOCARSTWA

ANNA  
MARKOWA

— E, to stara sprawa. Może nawet nie warto o niej mówić — kolega na stanowisku podniósł delikatnie miniaturową filiżaneczkę z kawą, pociągnął łyk i wyjął z kieszeni płaszcz paczkę „Rodope”. Podał ją, papierosy rozmówcy i chwilę czekał na jakąś zachęte z jego strony. Nie doczekawszy się, na razie zrezygnował z okazji i lekko zmienił temat.

— Teraz to zupełnie co innego. Znasz Więckowskiego? Krytyka Więckowskiego? — Tamten odrobinę oburzył się, ale nie za bardzo. Zresztą nie zdążył, bo kolega natychmiast zatuszował nietakt. — No tak, oczywiście, musisz znać jego rzeczy, ostatecznie jesteś dziennikarzem. Jestem nieznośnie roztargniony... — W powodzi tłumaczń utonął szczęśliwie drugi lapsus, to poblatłowe i wysoce nieestosowne „ostatecznie”. Kolega na stanowisku chwycił aktualny temat. Przypominał rybaka, który łapie się na własnoręcznie zarzuconą przynętę.

— Taak... Więckowski to firma. Solidna firma. A ja mu, bracie, tym swoim esesem zalałem sadła za skórę... Może ci się to wydaje dziwne, że ja tak o tym po prostu, ale żebyś widział jego minę... A teraz pół Polski tym się bawi. Co ja mówię pó, cała, oczywiście kulturalna Polska. Za granicą też już coś niecoś wiedzą... Tak... —

Apatyczny blondynek ożywił się nieco, zapalił drugiego papierosa i przyczulił się przez stolik. — Stuchaj, Wacek — wyraźnie delectował się intymnością wymawianego wprost imienia.

— Stuchaj, Wacek. Pamiętaj naszą pierwszą pracę, co? — Kolega na stanowisku westchnął elegijnie i nagle zla-

pał nitkę porzuczonego przed godziną tematu. — Właśnie o tej pracy myślałem i przypomniała mi się taka jedna sprawa. Stara sprawa... Pamiętasz tego krytyka z „Chorągwi”? —

— A, ten, co to mu się przejechało po ankiecie? — tym razem blondynek usiłował złapać w locie gaffę, ale kolega na stanowisku dośrodkowo machnął ręką. — Możesz to i tak nazwać, skoro masz ochotę... Ale to była po prostu polemika. Te dane o rodzinie, sprzed wojny, podałem ot tak, na przy czepkę... Ostatecznie nie to było najważniejsze...

— No, niektórzy z tych co „mogą”, byli innego zdania — blondynek nagle zadumał się nad swoją odwałą i zamknął w pół słowa. Kolega rozśmiał się. — W naszym fachu to czasem tak jest. Wolnoamerykanka... Wszystkie chywy dozwolone. — Dostrzegł gest protestu i zaraz dodał: — Przesadziłem, jasne. Może nie wszystkie. Ale ten na pewno —

Blondynek zaczął wałkować na stoliku skrawek bibułki. Patrzył na rzymski profil kolegi. — Jeden głupi spór z tym z „Chorągwi”, trochę reklamy i... patrzcie, Warszawa, redaktor odpowiedzialny... Teraz już samo mu się mówi „ostatecznie jesteś dziennikarzem”. Pewnie, taka prowincja. Jeden dziennik, cztery kolumny na krzyż... A gdyby tak... — Z regularnością automaty powtórzył ruch konfidencjonalnego pochylecia nad stolikiem. — Stuchaj, a gdyby tak... — Tamten zmienił w lot i uśmiechnął się poblatłowie. — Nie teraz, nie teraz... To na nic. Nikt dziś nie zwraca uwagi na pewne rzeczy, a poza tym... Wiesz chyba, że w Warszawie jest masa bezrobotnych dziennikarzy. — Oczywiście, oczywiście, ale jednak... Blondynka paliła niecierpliwie. Dopiero po dłuższej chwili zauważył obronny chłód tamtego. To znaczy, że teraz spór z Więckowskim, zagranica, cała Polska się bawi, naturalnie kulturalna Polska... i wiele innych rzeczy. Od „starej sprawy” dzieliło ich bądź co bądź siedem lat.

Przy poezganiu kolega na stanowisku stwierdził jowialnie: — Tak, bracie... Prasa to jednak piąte mocarstwo. Dobrze określenie, nie? W czym to było artykule, zaraz, zaraz... No, mniejsza o to. Od czasu do czasu to jest prawda! — Uśmiechnął się filuternie. Blondynek trochę niegrzecznie wyrwał szatniarzowi swój płaszcz, żeby w porę zamaskować teczką niefortunną, jaśniejszą w odcieniu łatkę w okolicy prawej kieszeni.

# Bez ludowej maski

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

Ostatnie nowele Władysława Dunarowskiego \*) sprawią zapewne zawód tym, którzy w literackiej tematyce wiejskiej zwykli upatrywać wyłącznie pretekst dla manifestowania tradycyjnej, a z lekką po młodopolsku ujętej ludowości z jej autentyzmem, po trosze egzotycznymi realliami, gwara itp. Tej — socjologicznie rzecz biorąc — protekcjonalnej ciekawości mieszczańskiej i spektakularnej ciekawości proletariatu, Dunarowski nie chce i nie potrafi zaspokoić niejako programowo: naczelna funkcja jego prozy jest bowiem dokumentacja nie zabytków i ciekawostek etnograficznych, lecz — inspirowanych zawsze literaturą, a szczególnie nowelistyką — dylematów i dramatów, kształtujących, a nierzadko i łamiących ludzkie życie. Normalnie ci prozaicy, którzy wyszli ze wsi i wracają do niej w swoich książkach, uważają za istotny obowiązek podkreślać — różnymi przesłankami: biologicznymi, psychologicznymi, socjologicznymi — innosć, odrębność życia i psychiki chłopca i postuluja, a zarazem realizują taką cokolwiek okrężną drogą jego nie tylko literackie równoprawnienie; otóż ten sam cel osiąga Dunarowski w znacznie prostszy i bardziej bezpośredni sposób, wydobywając z życia i perypetii, a przede wszystkim wnętrza swoich bohaterów pierwsiestek tylcie atrakcyjny co komunikatywny dla czytelnika każdej epoki, właśnie — człowieczeństwo.

Lecz nie tylko dlatego odczytujemy losy bohaterów Dunarowskiego jako sprawy dobrze znajome i serdecznie bliskie, dużą zasługę w tym względzie przypisać należy nawiązaniu autora „Maski na twarz” do wartościowej, a niemal zupełnie zaniedbywanej przez naszych prozaików wiejskiej tradycji literackiej. Tropicielem człowieczeństwa, ukrytego poza oplotkami i zagrodami chłopskimi był przecież nie kto inny jak Reymont i cokolwiek dążyć się powiedzieć o wyciąganym w niedawnym okresie za uszy kosmopolityzmu autora „Chłopów”, rentowność artystyczna uprawianej przez niego koncentracji wizji na przeżytych i doznaniach bohaterów nie ulega już dziś wątpliwości. Pomijając nawet bliskie pokrewieństwo pewnych postaci Reymonta i Dunarowskiego (np. Witka z „Chłopów” i „Os na miedzy”), sam „gatunek” sylwetek ludzkich, ulubiony przez obu pisarzy, jest identyczny; postacie utrzymane są z reguły w tonacji melanchoyli i smutku, ich zyciorysty — obrysowane konturami trwałego niepowodzenia, jeśli nie upamiędzenia życiowego i wreszcie — w czym zresztą Dunarowski idzie nawet dalej od Reymonta — daleko im od nasyconego przychylnymi realliami zadowolenia w świecie. Zatem bohaterowie tragiczni? W pewnej mierze — tak, tyle że autor „Maski na twarz” robi wiele, aby ów tragizm złagodzić, zakamuflować emocjonalnie i chyba właśnie dlatego tępi w miarę możności nasycone pesymizmem ostrze punkt swoich opowiadań, nie pozwalając mu szarpać zbytby wrażliwość czytelnika.

Ta daleko odsunięta od konwencjonalnej, ograniczonej do etnografii, ludowości, a zaawansowana w literackiej formie nowelistyki Dunarowskiego nie jest jednak całkowicie wykastrowana z ambicji dokumentacyjnych, które zresztą autor „Maski na twarz” zawęzał niemal wyłącznie do socjologii, do adnotacji na marginesie społecznych i obyczajowych przemian wsi. Tych adnotacji nie znajdziemy jednak zbyt wiele: poza klasyczną życiową wywodzącą się ze wsi młodej nauczycielki („Pierwsza posada”), nędzą, która nasuwa zniekanemu chłopu myśl zabicia nowonarodzonych dzieci („Bliźnięta”), i pomniejszymi aluzjami, ograniczonymi w swej chronologii również do dwudziestolecia, w innych opowiadaniach — Dunarowski nie objawia w swojej ostatniej książce specjalnej ochęty do (tak mądrego jeszcze do niedawna w naszej literaturze na temat wiejskiej) ilustrowania typowych procesów społecznych i historycznych. Nie znaczy to oczywiście, by wypielnił pozostałe elementy „Maski na twarz”: szkielet obyczajowe i psychologiczne były wysterelizowane całkowicie z przesłank historycznych; pełnia one jednak właśnie funkcję przesłanek, a nie schematycznych tez warunkujących w opowiadaniu hipotrofit jednych, a atrofię innych elementów ideowych i artystycznych.

Jak poświadczają o dotychczasowych rozważaniach, Dunarowski w swoich ostatnich opowiadaniach zrobił wiele, by ich treść i formę przykroć pedantycznie na miarę własnych zamierzeń i ambicji, by uczynić z tych utworów właśnie opowiadania, a nie — tak często powstające zamiast nich załgiki większych całości, cykłów lub powieści. Ta chwalebna i nie spotykana zbyt często u współczesnych prozaików pokora może jednak niepokoić swoją żelazną, niemal ortodoksyjną konsekwencją, której zazwyczaj niedaleko do szczególnie niebezpiecznej dla rozwijającego się pisarza, bo szarej i monotonnej, poprawności. „Maske na twarz” trzeba bowiem interpretować dwójako: raz — jako dowód pożytecznego zorientowania się przez autora w dotychczasowych możliwościach własnego talentu, lecz drugi raz — jako niepokojące, bo niemal zupełnie rezygnujące pisarza z prób i eksperymentów, które decydują przecież o utrzymywaniu się artysty w bieżącym, niezastygłym w kategoriach historii literatury, nurcie twórczości literackiej. Nie chciałbym, aby ta druga ewentualność przemieniła się w przyszłych książkach Dunarowskiego z supozycji w rzeczywistość: byłaby to przecież groźna dla jego utalentowanego prozaika zamiana odrzuconej przez maski konwencjonalnej ludowości na rzecz niemniej krępującego kagańca skostnienia artystycznego! autimitacyjnej manier i schematu.

\*) Władysław Dunarowski: „Maska na twarz”, Warszawa, 1957. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza.

**G**DY przed kilku laty dyrektor Instytutu Francuskiego na Haiti zaproponował mi wygłoszenie odczytu pozostawiając temat do wyboru, nie miałem nawet chwili wahania: będę mówił o bohaterstwie. Temat ten jest mi bliski: niejedną godzinę spędziłem na studiowaniu go po bibliotekach. Niebezpieczeństwo, odwaga, samoofiarność — nie miały dla mnie tajemnic; przybывая do Port-au-Prince gotów byłbym dać z siebie maksimum możliwości.

Publiczność Port-au-Prince jest jedną z najwrażliwszych i najbardziej kulturalnych, jakie tylko być mogą. Gdy więc w moim skromnym lecz eleganckim ubraniu, z baretką pałm akademickich w butonierce, znalazłem się na trybunie, starałem się spisać jak najlepiej. Zresztą wśród zebranych było kilka niebrydzkich pań i byłem zadowolony, że dzięki przeprowadzonej właśnie kuracji odtuszczającej udało mi się pozbyć jakichś dwudziestu kilogramów.

Mówiłem o Saint-Exupéry'm, Malraux, Ryszardzie Hillary'y'm, a mimo iż nie wspominałem o moich własnych doświadczeniach pasażera dalekolejnych linii lotniczych, udało mi się jednak przemycić kilkakrotnie zaimek „my” w sposób dyskretny, ale sugestywny. Akustyka była doskonała, oświetlenie korzystne, toż wywodząc mocnym głosem, jak to śmierć, której stawiamy czoło z całą świadomością, nadaje dopiero pełny sens życiu — sprawdziłem równocześnie, że nasza ambasada jest godnie reprezentowana i zastanawiałem się, ilu też słuchaczy poprosi mnie na zakończenie o autograf.

Nagle jednak poczułem, że ciąży mi czyjeś spojrzenie. Pochodziło ono z pierwszego rzędu, gdzie siedział pewien jegomość, czarniejszy niż czarna głębia sali, który nie spuszczał mnie z oczu. Ta natarczywość trochę mnie zirytowała, tym bardziej że w wyrazie jegomościa było coś drwiącego. Nie dałem się jednak zbliżyć z tropu i gładko zakończyłem prelekcję obrazem bohatera naszych czasów, którym twarz w twarz z śmiertelnym niebez-

pieczeństwem odkrywa w tej ostatecznej chwili wszystkie zapomniane trwale wartości, i wykreślił mi jak doświadczenie takie podzielać może zapładniająco na twórczość i na całe życie człowieka.

Gdy opuściłem trybunę, jegomość, który słuchał mnie tak uważnie, podszedł pierwszy z wyrazami uznania.

— Doktor Bonbon — przedstawił się. — Wspaniały odczyt. Czuję się u pana dogiętna, osobistą znajomością tematu. Odpowiedziałem, że „stotnie” znam osobiście Jules Roy i że mamy nawet tego samego wydawcę.

tor pykał fajkę, patrząc na mnie przyjaźnie.

— A propos — odezwał się — może dobrze by było wypróbować aparatik. — Aparacik?...

— Musi pan wypróbować swój aparat tlenowy — wyjaśnił. — Spuści się pan na rafę jakiejś pięć metrów w głąb wody i butle z tlenem dadzą panu ze dwadzieścia minut swobody ruchów. Zaraz panu pokażę, jak się obchodzi ze strzelbą podmorską. Nic prostszego.

Nagle obrzucił mnie badawczym spojrzeniem.

na pastwą rekina, gotów byłbym to uczynić. Zażądano mi próbnie maski tlenowej; pasowała jak ulał. Patrzyłem ponuro na szmaragdowe fale. Umrzeć tak głupio, nim osiągnęło się nakład stu tysięcy...

— Proszę założyć pas tlenowy. Ułatwi panu zanurzenie się.

Wyraz jego mimo pozorów dobroduszości wydał mi się nagłe diabelski. Pozwoliłem nałożyć sobie elcwigunek, jak kość pozwala nałożyć sobie wędzidło.

— Ci chłopcy spuszcza się razem z panem — powiedział doktor, wskazując czterech czarnych drabów, którzy krząpali się koło mnie.

— Ach! — odetchnąłem z ulgą. — Straż przyboczna! — zrobiło mi się raźniej na sercu.

— To nagonka — wyjaśnił doktor. Pójdą przed panem, bokami, by naganąć na pana rekiny. Panu pozostaje tylko strzelać.

Nie miałem odwagi zbuntować się. Zresztą nagle wszystko mi zobjętnało. Przymocowano mi do stóp ogromne pletwy, pas, maskę, wepchnięto mi w ręce strzelbę i uprzejmie udzielono pomocy przy opuszczeniu pokładu. Plusnałem w wodę.

Przez parę pierwszych chwil kręciłem się w kółko jak bąk, usiłując się osłaniać ze wszystkich stron jednocześnie. Jak mi się zdaje, osiągnąłem wcale imponującą szybkość obrotu. Ale wkrótce zmęczylem się i opadłem na piasek wśród zielonego zamiętu, w którym przez kilka minut nie nie widziałem. Potem spostrzegłem rafę koralową i na czworakach ruszyłem w jej stronę, chcąc zabezpieczyć sobie przynajmniej tyły. Lecz w tej chwili dostrzegłem, jak z jakiejś dziury wyłoniła się długa, smukła ryba i utknęła mi tuż przed noskiem. Wrzasnąłem, ale to nie był rekin.

Była to barrakuda.

Nigdy w życiu nie widziałem na oczy barrakudy, ale poznałem w jednej chwili, z kim mam do czynienia. Są znaki niezawodne, a tu nie brakło żadnego z nich. Nie pamiętam, co się

## Oko w oko z barrakudą

ROMAIN GARY

Tłumaczyła z francuskiego Anna Jakubiszyn-Tatarkiewicz

— Ale, ale — powiedział — kilku czytelników pana zobowiązało mnie, bym panu uprzyjemnił pobyt na Haiti. Przyszło mi na myśl, że chętnie zapołożyłbym pan na rekiny na Rafach Irokezkich. Silne wrażenia nie są panu zapewne nieznane...

Pomysł rzeczywiście przypadł mi do smaku. Pisarz powinien mieć swoją legendę. Udział w polowaniu na rekiny na Morzu Karaibskim nie będzie na pewno bez znaczenia dla przyszłych moich biografów. Przyjąłem więc chętnie uprzejmą propozycję zacnego doktora. Widziałem się oczyma duszy przywiązanego do siedziska, jak walczyłam ostatkami sił z olbrzymią rybą, uwieszoną u wędki. Następnego dnia po południu miałem powtórzyć odczyt w Cap-Haiti, tak że postanowiliśmy wyruszyć o szóstej rano. O oznaczonej godzinie spotkaliśmy się na yachcie doktora i wypuściliśmy się na morze, płynąc po toni, której na przekór wszelkim obawom banału nie mogę nie nazwać szmaragdową. Dok-

— Co się stało? — zapytał łagodnie. — Coś panu dolega?

Nogi się pode mną ugłęły. Przez kilka chwil usiłowałem walczyć z oczywistością. Ale marynarze montowali już aparat; doktor udzielał im informacji technicznych. Nie mogło być wątpliwości. Ci ludzie chcieli mnie spuścić w głąb Morza Karaibskiego, rojącego się od rekina, i pozostawić ze strzelbą w ręką wśród obrzydłych bestii! Otworzyłem usta, by zaprotestować...

— Wie pan — powiedział doktor z oburzającym spokojem — nie potrafię powiedzieć jak zachwyciła nas pańska przejmująca prelekcja. Biorę na siebie, że całe Haiti będzie o tym mówić...

Zmierzyliśmy się wzrokiem. Nie powiedziałem ani słowa i nie spuściłem oczu. Są chwile w życiu człowieka; gdy trzeba narazić to życie w obronie tego, z czego się żyje. Jedynym, co miałem na tym nędznym świecie, była moja słowa prelegenta: jeśli dla zachowania jej trzeba się było oddać

## Z UCZUCIEM WSTYDU

CZESŁAW TWARDZIK

„DOKOŁA WOJTEK”

Tygodnik ilustrowany

Od specjalnego wysłannika z Paryża.

...Więc jestem już na Pigalle, więc jestem już na sławnym placu sławnej stolicy świata. Rozglądam się. Wokół neony nejące oczy złudnymi mirażami kapitalistycznych rozkoszy. Brr! Ale cóż — służba nie drużba. Chwila namysłu i decyzja. Tak, na pierwszy ogień niech będzie strip-tease. Oto jestem już w jednym z dziesiątków przytulnych lokali. Usłużny kelner wrecza mi gratisowo bambusowy kijek opatrzony niewielkim haczykiem służącym do rozneglizowania tancerki przez ściganie z niej poszczególnych części garderoby. Początkowo z oburzeniem patrzę jak robią to inni, po chwili jednak odezwał się głos dziennikarskiego sumienia. Czyż mogą tak nieproduktywnie przestać całą noc? Czy za to mi płacą? Nie. Nie wolno mi trwonąć grosza publicznego. Nie wolno mi lekceważyć zaufania mojego organu. Wyciągnęłam kijek. Ciało kobiety? Pornografia? Sine qua non sztuki! Wstydu! Ejże! Jakże jesteśmy zakłamaną. A Wenus z Milo? A tanciec wielkiej Isadory Duncan? A czy Goya jest siewcą rozpusty? A czy wreszcie granicę moralności stanowi te pół łokcia jedwabiu? Ubrojony w podobne refleksje ruszyłem na podbój nocy. Tej z tysiąca i jednej nocy Paryża.

Świtało. Schowałem swój kijek. Nie, nie schowałem. Odrzuciłem go ze wstrętem. Tak jest. Pigalle opuściłem z uczuciem wstydu.

...Niebo Paryża! Co za niebo! Była czarna noc i chmury, nieba nie było

widać, ale to niebo jest. Któżby wątpli. Niebo Paryża!...

F. A.

„NOWA WIĘŹ”

Ilustrowany magazyn

Listy z Afryki.

...Na wkleśłym szafirze nieba stało słońce. Tak samo stało wczoraj, tak będzie stać jutro...

...Domy publiczne w Casablance nie różnią się w zasadzie niczym od innych tego rodzaju placówek napotkanych w mojej dziennikarskiej wędrowce po Afryce (patrz Nr 453). Dzielnice tę po dokładnym zbadaniu najciekawszych obiektów opuściłem z uczuciem wstydu, udając się do Kairu. Następną garść wrażeń z tego egzotycznego miasta postaram się przesłać za tydzień.

J. H.

„NAPRZECIWI”

Tygodnik ilustrowany

Z podróży dookoła świata. Delhi (Indie).

...W oknach niskich, zaniedbanych domów siedziały nagie, młode kobiety. Były to żywe przynęty przyciągające przechodniów. Widok ten zjęty mi włosy na głowie. Tyle kobiet! Tyle młodych, zdrowych, niewyeksplloatowanych do pracy rąk, głów, nóg... (DOSYĆ!) Co je to do tego skłoniło? Czy nie ma już dla nich drogi powrotu? A gdyby ją wskazać... Mam przecież prawo i obowiązek dotrzeć do źródła. Spróbuję stanąć oko w oko ze złem. Spróbuję walczyć. ...Niestety. W czasie mojej długiej, przekonującej perswazji (NA MIGA) młode Hinduski co chwilę wybuchyły śmiechem. Walkę przegrałem. Złamały i zawstydzony z uczuciem moralnego (SIC!) zmęczenia szybko opuściłem tę ponurą dzielnicę...

...Wspaniałe jest indyjskie niebo. Postaram się je opisać. (USIADZMY WYGODNIEJ — DRZEMKA).

S. R.

„PRZEKLJUJ”

Tygodnik ilustrowany

Korespondencja własna z Hamburga.

...Rozpoczęliśmy naszą wędrowkę od ulicy Powroźniczej, od słynnej Reeperbahn. Przed wejściem do lokalu każdy nowy przybysz zwiędza wystawę „seksuologiczną” (LADNE OBRAZKI,

CO?), która ma na celu wprowadzić go w odpowiedni nastrój. Wędrując od lokalu do lokalu zauważyliśmy nie bez zażenowania wielką różnorodność usług, nieograniczoną wprost pomysłowość i iniejątywą nie napotkaną nigdzie dotąd. (NAWET W SZCZECINIE?). Wszystko w trosce o klienta. Z uczuciem wstydu i oburzenia opuściliśmy to grające orgią światel bagno.

...Niebo nad Hamburgiem? Cóż — jak niebo. Wszędzie niebo i niebo...

L.B. i P.Z.

„PANU RANO”

Tygodnik

Reportaż własny z Chicago.

...Znów coś nowego. Następnym bowiem punktem tego nieprzewidzianego zresztą programu było obejrzenie tzw. filmu obyczajowego. Akcją tego filmu stanowią następujące po sobie kapieele w wannie nagich „aktorów”. Film ten jest pewnego rodzaju wypoczynkiem wśród pulsującej nocy tego lokalu. Ale oto film się już skończył, dość zresztą nudny i martwy. Znów się zaczyna życie. Nocne chicagowskie życie! (TAAKIE ŻYCIE!). Chicago się bawi. Chicago broni się przed nudą. Nad ranem wróciłem do siebie zdziwiony i przerażony. Za co ci ludzie tak cierpią?... Byłem bogatszy o jedną odsłonę. Z jednej strony (Z KTÓREJ?) doznałem uczucia wstydu, z drugiej zaś pewnego zadowolenia (WIERZYMY NA SŁOWO) z dobrze wykonanej roboty. Nielatwej, dziennikarskiej roboty.

...Czytelnik w kraju zainteresuje z pewnością (OGROMNIE!) wyglądem nieba na drugiej półkuli. Otóż co jest zaskakujące to kolor błękitu: zupełnie taki sam jak w Polsce, z tym jednak, że im dłużej się nań patrzy... (WIEMY — TYM DROŻEJ KOSZTUJE).

Z. K.

DO REDAKCJI „KAMENY”

Droga Redakcjo!

Wobec pojawienia się w naszych poczytnych tygodnikach wielkiej ilości reportażu poruszającego z takim pietyzmem i znajomością tematu najistotniejsze problemy bytu (patrz wyżej), jak również porywających (do ziewania) opisów nieba — z żalem pragnę

zauważyć, że pisma literackie rażąco opóźniają się w tym imponującym wysiłku pod hasłem „z walizką grosza po garść wrażeń”. Śmiem twierdzić, że wprowadzenie stałej kolumny poświęconej omawianiu, jakże budującej, problematyce podniesie atrakcyjność pisma, a czytelnikom przysporzy wiele godzinowej, frapującej lektury.

Należy jak najszybciej wypełnić tę dotkliwą lukę. Jako korespondent nadzwyczajny „Kamenu” proponuję wystąpienie przynajmniej w cztery strony świata swoich pewnych moralnie i kondycyjnie ludzi (z udziałem niżej podpisanego), a to w celu gruntownego poznania i opisanie tych tak chętnie poruszanych przejawów życia ze szczególnym uwzględnieniem jakości usług tych ważnych i jakże ofiarnie nawiedzanych placówek społecznych zgniego Zachodu, że już nie wspomnę innych części świata...

Nie mając rozeznania co do kosztów podróży i wysokości odnośnych opłat (w żadnej korespondencji niestety nie ujawniono taryfy), proponuję orientacyjną sumę: 10.000 zł na lebkę, resztę w dewizach.

Nie żałujmy tych głupich paru złotych. Nie zostawiamy w tyle. Cóż, droga Redakcjo, trzymanie ręki na pulsie życia kosztuje. Trudno.

W oczekiwaniu na wizy i dewizy kreślię się



działo w ciągu następnego sekundu...

Dokonałem wysiłku, by wydosłać...

Coś wydarło mi strzelbę z rąk z tak...

W jednej chwili byłem na powierzchni...

A strzelba? Odpowiadając opowiedziałem...

— Pański harpun utkwiał oczywiście...

Cyniczny facet dawał do zrozumienia...

— Na Irokezach? — zapytał. — Ależ...

Gdy wszedłem na trybunę, ku memu...

— Proszę państwa — zacząłem — gdy...

Doktor Bonbon patrzył na mnie z...

Tłumaczyła z francuskiego Anna...

Anna Jakubiszyn-Tatarkiewicz

Ostatni przegląd prasy literackiej za...

Burzę rozpetał Antoni Słonimski w...

Czytelnicy pism literackich, tygodników...

„Idziemy my y Tutotam Skosem do przeciw głów”

odwraca skosem głowę na znak sprzeciwu...

A dalej: Gdy czytamy piękny wiersz...

Dla mnie sprawa jest o tyle prosta, że...

Na tle zarzutów sprecyzowanych w...

Młodzi poeci sięgnęli do zdobyczy...

Można się z tym sformułowaniem...

przykład Czechowicza recytowane gło...

W ramach starej poetyki opartej na ry...

W jakim stopniu zamierzenia te są...

Już poprzednio sygnalizowałem u...

W Nr 9 Nowej Kultury znajduje się...

siega od dadaizmu, nadrealizmu, jako...

Wyka uważa, że w skrzyżowaniu się...

W Nr 11 Życia Literackiego Jerzy...

Zamykający się obecnie pierwszy epizod...

Przed literaturą, zwłaszcza literaturą...

A na to z koleją Włodzimierz Maciąg...

Spotkania z książkami

Zdumiewające jest, że wydane „Pisma”...

jako przedstawiciela „tego zanikającego...

Inną taką postacią przypomniał H. Mor...

Książka ma jeszcze jeden cel: namawia...

Nie zapomnijmy także czytać książek...

Takim wprowadzeniem mogą być wydane...

Zupełnie inny charakter ma, lecz równie...

(Dokończenie ze str. 11)

wszystkich doświadczeniach historii i nowoczesnej humanistyki? Po Marksie, po Talnem, Freudzie, neopozytywizmie i egzystencjalistach, po całym wielkim buncie współczesnej sztuki stać nas rzeczywiście tylko na nachłonięny belkot? Polska świadomość kulturalna miała go aż nadto, krzweł się zawsze wyjątkowo bujnie, niszczył nas, ogłupiał i ośmieszał. Czy z doświadczeń historii ostatnich lat trzydziestu czy pięćdziesięciu da się odczytać tylko wizja, tajemny symbol, groza istnienia itp. treści? Nie obawiamy się: z prawdziwej sztuki nie da się ich usunąć. Ale stawianie na treści te jako na program jest rzeczywistym regresem, jest stwarzaniem szansy dla wszelkiego mgiełnictwa.

Na zakończenie oddajmy głos poetce. W Nr 10 Życia Literackiego Anna Kamińska drukuje fragmenty ze swego notatnika poetyckiego pod smutnym tytułem „Utrata wiary w piękne słowo“.

Z notatnika tego pragnę powtórzyć kilka ciekawych i głębokich myśli o współczesnej poezji:

Wylądowała się narastająca nieufność do „literatury” w poezji. Przejęcie się postromantyzmu oznacza zwycięstwo kierunków nowatorskich, które oczywiście wywodzą się z nowatorskich prądów XX-lecia. Tylko że awangarda ani krakowska, ani żadna inna z lat dwudziestych nie powinna zbyt głośno triumfować. Liczne dzisiejsze dzieła awangardy przedwojennej nie są bardzo podobne do rodziców. Awangarda wczoraj i dziś znaczyła coś zupełnie innego. Awangarda skłasyfikowała, a raczej spseudoklasyfikowała, zastępną w geście nowatorskim, skanonizowała swoje środki artystyczne.

tastrofy wrześniowej, okupacji i pierwszych lat po wyzwoleniu jest w tej książce zarzysowane raczej ubogo i blade, wskutek czego dominantą jej stają się sprawy sercowe bohaterki, ujęte zresztą niezbyt głęboko.

Oryginalnym pomysłem „Czytelnika” było wydanie zbioru wspomnień z lat uczniowskich plejady naszych najpopularniejszych pisarzy ostatnich doby, pod tytułem „KREDA NA TABLICZCE” (opr. płóc., c. zł 29, nakł. 20.000). Oprócz czołowych nazwisk najstarszego pokolenia, jak Tuwim, Zawieyski i Parandowski, spotykamy tu wspomnienia generacji średniej.

Poza udziałem we wspomnianym wyżej zbiorze Jan Wiktor wydał także oddzielnie obszerniejszy tomik swych wspomnień z lat dziecińczych i młodości, pt. „PRZESWITLONE WSPOMNIENIA” (Czyt., opr. brosz., c. zł 19, nakł. 5.000), obrazujących ciężką drogę chłopskiego dziecka, któremu rodzice kosztem wyrzeczeń pragnęli zapewnić „karierę inteligenta“.

Prawdę powiedziawszy ani Przyboś, ani Peiper, ani Czechowicz, ani też Ważyk nie mają swoich kontynuatorów.

A dalej:

Za Różewiczem dziesiątki młodszych poetów przejmują sprostowane zdanie poetyckie. Niekiedy zresztą przekraczają granice poezji, które przekraczać bezkarnie wolno tylko dużym talentom. Technika sproszowanego zdania, „nagi wiersz”, jak się czasem określa, ma w poezji Różewicza głęboki sens. To jego wielka sprawa, to treść wewnętrzna narzuca mu ascetyczny wygląd wiersza. Poeta, który sam o sobie mówi: „szary człowiek z wyobraźnią małą, kamienną i nieubłąganą” — osiąga wiele właśnie przez swoją świadomą ograniczoność — jeśli to nie brzmi zbyt paradoksalnie.

Naśladowcy Różewicza przejmują samą technikę bez owej wewnętrznej treści, która musiałaby być ich treścią. Stąd niezliczone potworki wierszy-niewierszy, drukowane w pismach młodzieżowych.

Poetka jako najbardziej charakterystyczne tendencje obecnego okresu poezji widzi skłonności do groteski, oraz w nurcie filozoficznym. Bardzo wysoko ocenia poezję Wata.

Poezja Wata nie jest przyjemna, klarowna, ani optymistyczna. Jest to poezja wyniesiona z bagnisk życia, ze szpitalnego odoru choroby, z brzydoty i potworności. Nigdy nie wiadomo, gdzie zakwitnie kwiat poezji. A trudno wymagać, aby w naszej tragicznej epoce kwitła ona białymi liliami.

Tak to w dużym skrócie starałem się czytelnikom Kameny opisać ostatnie boje na froncie poetyckim.

(B)

I CO CI, PAPIE, PO ZABIEJ LAPIEY Na pierwszej kolumnie „Sztandaru Ludu” z dn. 19.III. r. b. widnieje pasjonująca informacja o królewskim „posiłku” byłego króla Faruka w Monte Carlo, który w jednej z monachijskich restauracji „w jedetek w nocy... spożył danie składające się z 6 tuzinów udek zębich”. Skąd lubelski dziennik zaczerpnął tę arcyważną wiadomość? Podpisane wyraźnie: PAP.

NAKLADEM OSSOLINEUM ukazały się niedawno dwie pozycje Stanisława Wasylewskiego: dawno wyczerpana, urocza książeczka „filologiczna” — „Na końcu jeziora” oraz wspomnieniowy „Niezapomniany stan służby” (II wyd.). W ciągu ostatniego roku wyszło kilka wznowień tego świetnego gawędziarza i stylisty. Ze wstępu do „Niezapomnianego stanu służby” dowiadujemy się, że Wasylewski zmarł w Opolu 25 lipca 1953 roku i że borykał się „z bardzo trudnymi warunkami materialnymi, które nie zaciążyły jednak na jego twórczości literackiej”. Pamiętamy dobrze, co wpłynęło na to, że ostatnie lata jego mięso było w odosobnieniu. Ale gdyby dożył czasów późniejszych, zapewne byłby już przywrócony do pełni praw związkowych i cieszyłby się, że książki jego pojawiają się znowu na rynku wydawniczym i są rozchwytywane. Swoją drogą wydaje się, że i po śmierci autora należałoby społeczeństwu stopień jego winy wyjaśnić i w razie uznania jej za zmaną oczyścić pamięć pisarza z jego lekkomyślności.

OJ, TEN RUCH, ZOŁWI RUCH! Od paru miesięcy do Lublina nie dociera „Twórczość”. Numer grudniowy z ubiegłego roku i styczniowy tegoroczny w kioskach lubelskich świecił nieobecnością.

-kaj-

**KSIAŻKI NADESLANE**

- Aldous Huxley: „Geniusz i bogini”, przełożył J. J. Szczepański, Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1958
- Jan Sztudaynger: „Krakowskie piórka”, Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1958
- Anna Swirszczyńska: „Opowiadania”, Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1958
- Gustaw Morcinek: „Listy spod morwy”, Wydawnictwo Pax, Warszawa, 1957
- Zofia Kossak: „Szaleńcy boży”, Wydawnictwo Pax, Warszawa, 1957
- Sigurd Undset: „Krzak gorejący”, Wydawnictwo Pax, Warszawa, 1957
- Sigurd Undset: „Legenda o Królu Arturze”, Wydawnictwo Pax, 1957

„Odpowiedzi Redakcji” zamieścimy w numerze następnym.

Rys. na str. 6 i 9 Teresy Targońskiej



**Kto to malował?**



Pomiędzy czytelników, którzy nadesłali najwięcej prawidłowych odpowiedzi, zostaną rozlosowane prace: „Stanisław Ignacy Witkiewicz, człowiek i twórca” — książka pamiątkowa oraz R. Ingardena „Studia z estetyki”. Odpowiedzi (wraz z nazwiskiem czytelnika i jego dokładnym adresem) należy kierować do Redakcji „Kamena” w terminie do dn. 15.IV. br.

